Seryja III. Luty 1893. Nr. 2.

LISTY I PRZESYŁKI ADRESOWAĆ NALEŻY: DAWN 27, Stonor Road, W. Kensington, LONDON, W.

PRZEDŚWIT

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

Przedpłata roczna wynosi: 4 s. — 4 m. — 5 fr. — 1 dol. w kopertach: 5 flor. — 4 r.s.

CZASOPISMO SPOŁECZNO-POLITYCZNE

Tryumf zgody z losem

PRZY tobie, panie, stoimy i stać chcemy" — otoj hasło bojowe, które coraz głośniej rozlega się wśród naszych klas posiadających. To, co kiedyś za największą hańbę poczytywano garści filistrów krakowskich oraz satrapów podolskich, teraz daje się słyszeć pod zaborem pruskim a nawet w Rosyi nie brak oznak, zwiastujących zwiększenie się „trzeźwych" poglądów.

Rzeczywiście, od czasu jak pan Kościelski po raz pierwszy wyznał, że jest „prusakiem, mówiącym po polsku," serwilizm zrobił nielada postępy wśród inteligencyi poznańskiej, stał się poniekąd kierunkiem panującym. Zarzucono dawną politykę upartego trzymania się traktatu wiedeńskiego, która, jakkolwiek była w zupełnej sprzeczności z istniejącym stanem rzeczy, stanowiła jednak jakiś opór zasadniczy przeciwko rządowi niemieckiemu. Na jej miejsce postawiono nędzne i niegodne targowanie się z rządem o drobne ustępstwa, które doprowadziło do znanych wszystkim wspaniałych rezultatów — uzyskano pozwolenie prywatnego nauczania języka polskiego w szkołach oraz arcybiskupa polaka. Pierwsze z tych ustępstw już prawie zostało zniszczone przez administracyję szkolną, drugie w niektórych wypadkach może być nawet groźnem; wiadomo, iż za polaka Ledóchowskiego germanizacyję daleko łatwiej było praktykować, niż by to śmiał uczynić Dinder, lub inny niezupełnie polski „pasterz dusz." Wszystkie inne obietnice, jeżeli jakie były robione, spełzły na niczem, a rząd niedwuznacznie dał poznać posłom polskim, iż uważa erę koncesyj za skończoną.

Pomimo tego, p. Komierowski oświadcza przy obradach nad powiększeniem wojska, że ono „leży w interesie ludności polskiej." Przerażają go co prawda wydatki, ale i o tem da się pogadać, — czyli potargować.

O austryjackości stańczyków galicyjskich chyba mówić nie potrzebujemy, ale zajrzyjmy do Rosyi. Tu już nikt nie mówi o koncesyjach; przeciwnie, ucisk coraz brutalniejszy i coraz bardziej bezwzględny rozpościera się po kraju, język polski wydalony jest nietylko z urzędów, ale i z ważniejszych instytucyj prywatnych i ani jedna klasa narodu oszczędzoną nie jest. A pomimo tego stańczykieryja, dotychczas wstydliwa od niejakiego czasu i tam maskę zrzuciła i w łamach organu petersburskiego otwarcie polemizuje z agitacyją patryjotyczną oraz ostrzega wszystkich przed okropnemi niebezpieczeństwy, mogącemi wyniknąć z czego? — z tej zabawki zwanej żałobą.

Ależ to wszystko są konserwatyści! — zawoła żarliwy demokrata — to są różnego gatunku stańczycy, potomkowie dawnych targowiczan, którzy zawsze otwarcie ideję niepodległości Polski zdradzali.

Otóż przedewszystkiem nie zawsze zdradzali ją oni otwarcie; takiego cynizmu jak dzisiaj, takiego wyraźnego wyrzeczenia się bytu samodzielnego nie znajdziemy w żadnej chyba epoce naszej historyi. Ale na tem nie dosyć, przypatrzmyż się owym siłom postępowym, demokracyi, mającej uwolnić nas od rządów najezdniczych.

W Poznańskiem i wogóle pod zaborem pruskim nie ma jej wcale; naprzeciw zwartej organizacyi księży i szlachty stoją tam tylko socyjaliści, chyba że wyjątek zrobimy dla p. Szymańskiego i jego organu „klas średnich," ależ on to był właśnie przez długi czas jedynym,

bardzo skromnym zresztą, przeciwnikiem traktatów wiedeńskich, jedynym zwolennikiem zgody z losem; jego to polityka w gruncie rzeczy zwyciężyła nad dawnem ślamazarnem dąsaniem się szlachty.

Za to Galicyja i zabór rosyjski posiadają demokracyję i to jaką! Wypędzenie żydów do Palestyny oraz wyższość religii chłopskiej nad arystokratyczną nie są najmniej wspaniałymi wynalazkami naszych ludowców, z których jedni są parodyją starych demokratów, z szlachecka na francuskim gruncie wychowanych, drudzy wykształcili się pod wpływem „czystych“ źródeł narodniczestwa rosyjskiego. Ale nie mamy na myśli rozbierania ich dotychczasowej działalności, w której oprócz śmieciów niejedna sympatyczna strona by się znalazła; *teraz* i oni w kwestyi niepodległości Polski nie lepsi są od stańczyków.

Czem że bowiem, jeśli nie zgodą z losem, jest kierunek, panujący wśród literatury demokratycznej zaboru rosyjskiego? Nie będziemy żądali, by nawoływano do powstania pod panowaniem cenzury, ale nawet nie idąc tak daleko można zachować pewne granice, nakreślone przyzwoitością polityczną. Tymczasem czyż wynajdywanie coraz to nowych pól t. zw. legalnej roboty, która w najlepszym razie jest ową niegdyś wyklętą pracą organiczną, a w samej rzeczy jest tylko pretekstem do przykrycia własnej bezsilności, — czyż to, powtarzamy, nie musi doprowadzić do wychowania całego pokolenia ludzi, którzy w tej działalności widzieć będą alfę i omegę? Co zaś robią ci, którzy od tylu lat kamieniem rzucali na socyjalistów za ich rzekome zaniedbanie kwestyi niepodległości Polski? Fiasko demonstracyi 3-go maja i wykręcanie się takiemi niewinnemi zabawkami, jak namawianie panien do noszenia czarnych, a nie kolorowych, spódnic jest jak dotąd odpowiedzią na powyższe pytanie.

Przejdźmy do Galicyi.

Łatwo pojąć, że galicyjanin, mający na myśli zdobycie niepodległego bytu, musi z radością chwytać każdą sposobność rozszerzenia autonomii swej prowincyi; gdyby Galicyja bowiem potrafiła zdobyć sobie wewnątrz Austryi stanowisko, podobne do Węgier, to oczywista rzecz, iż siły, które by ona w danym wypadku mogła rzucić na szalę, byłyby daleko większe od dzisiejszych. To dawniej wszyscy pojmowali i tego wynikiem były owe *rezolucyje*, które domagały się jaknajszerszej autonomii. Gdzież się to wszystko podziało? Niedość, że obie partyje, reprezentujące ogół szlachty i mieszczaństwa galicyjskiego, pozwalają rządowi oraz parlamentowi wiedeńskiemu na obcinanie praw Galicyi na każdym kroku, ale nawet, gdy ze strony lewicy niemieckiej odezwały się głosy, proponujące udzielenie Galicyi położenia wyjątkowego w monarchii austryjackiej, to głosy te zarówno w Kole polskiem jak i wśród prasy t. zw. demokratycznej ostro zostały odparte. Oczywiście, iż trudno wierzyć w szczerość polskich sympatyj centralistów niemieckich, ale sądzimy, że irlandczykom np. zupełnie byłoby obojętnem, z czyich rąk dostaną *home rule*, byleby go mieć. Rzeczywistą przyczyną takiego postępowania są korzyści, jakie szlachta galicyjska ciągnie z łączności z Austryją oraz szlachecki kierunek, pomimo frazesów demokratycznych, postępowości galicyjskiej.

Na wszystkich zatem polach widzimy wśród naszej burżuazyi patryjotycznej trąbienie do odwrotu, zgodę z losem i wyrzeczenie się dawnych tradycyj. Jakże się wobec tego mają zachować socyjaliści?

Nikt chyba od nas wymagać nie będzie, byśmy podjęli sztandar, który wypada z obezwładnionej interesem klasowym ręki naszych warstw posiadających. Ani Polski szlacheckiej, o której zresztą nikt nie myśli, ani Polski burżuazyjnej nie chcemy i chcieć nie możemy. Ale dążenie do odzyskania bytu niepodległego, do wywalczenia od obcych rządów Polski ludowej, dążenie, które zawsze nas ożywiało, teraz jeszcze ważniejsze miejsce w naszym programie zająć powinno.

Dwie tylko drogi ma przed sobą proletaryjat polski wobec kwestyi niepodległości: albo zdać jej wywalczenie innej partyi, albo też, streszczając w swoich dążeniach zaspokojenie wszystkich dolegliwości, jakie dziś na ludziach ciążą, wziąć na siebie także rozstrzygnięcie kwestyi obalenia obcego ucisku.

Wątpimy, żeby ktokolwiek mógł nam doradzać wybranie pierwszej drogi; byłoby to sprowadzeniem socyjalizmu ze stanowiska partyi politycznej do roli towarzystwa propagandy, wyrzeczeniem się samodzielnego istnienia partyjnego. Przyznawalibyśmy w ten sposób racyję bytu partyj burżuazyjnych, podczas gdy nasza krytyka właśnie ich rozkład wskazuje.

Wreszcie nie uwzględnilibyśmy przykładu tych partyj socyjalistycznych, które przed nami w podobnem położeniu się znajdowały: socyjalistów francuskich, biorących na siebie inicyjatywę

walki o zdobycie republiki, Lasala, koncentrującego swe siły na zdobycie powszechnego głosowania, wreszcie Marksa, który zarówno w 48 r., jak i później zawsze stał na tem stanowisku, że partyja socyjalistyczna powinna walczyć z uciskiem wszelkiego rodzaju.

Ale jeżeli z teoretycznego stanowiska podobny punkt wyjścia nie wytrzymuje krytyki, to musimy go zupełnie zarzucić wobec istniejących faktycznie warunków. Być ogonem partyi żywej i rozwijającej się, przy pewnych warunkach (np. w razie zupełnego braku widoków na szersze rozwinięcie się socyjalizmu, jak w Irlandyi) — można, a raczej trzeba, ale być ogonem tej zgnilizny, która się zowie naszą szlachtą i mieszczaństwem, to zaiste rola nie do pozazdroszczenia.

Jeżeli ktośkolwiek mógł mieć iluzyje co do impotencyi politycznej polskiej burżuazyi, to wypadki ostatnich dni powinny go były przekonać. Zaiste nie wiele potrzeba było odwagi, by bronić w Poznańskiem traktatu wiedeńskiego, a autonomii w Galicyi, tymczasem i to brzemię zbyt ciężkiem jest dla zgrzybiałych pleców naszego mieszczaństwa. Marazm życiowy, który ogarnia każdy stan u schyłku jego karyjery historycznej, nie pozwala rozwinąć naszym klasom posiadającym nawet tej energii, którą by one w swem własnem łonie znaleźć jeszcze mogły. To też ustępują one z placu, nie probując nawet walczyć, podobne do owych senatorów weneckich, którzy oddali Napoleonowi miasto wraz ze skarbami i zapasami, wystarczającymi dla uzbrojenia ogromnej armii, skazując na bezczynność liczny, chętny do walki lud.

Ta bezsilność klas posiadających wkłada na nas pewne obowiązki. Ponieważ nie ma u nas widoków na wytworzenie się stronnictwa patryjotycznego z elementów, które z natury swego położenia niedostępne są naukom socyjalizmu, dlatego, choćby nawet nie przekonały nas wywody teoretyczne i praktyka innych partyj, zmuszeni jesteśmy brać na siebie i te zadania, do wykonania których nasza burżuazyja okazuje się niezdolną, nadając im tylko charakter socyjalistyczny. Takiem zadaniem, które sobie uświadomiony proletaryjat stawia u nas, jest zdobycie niepodległości, zastąpienie obecnych rządów przez Polskę ludową. Albowiem, oprócz partyi socyjalistycznej nikt nie jest w stanie podjąć się tego.

Działając tak, będziemy szli śladem naszych poprzedników w walce. Gdy socyjaliści poznańscy podnieśli energiczny protest przeciwko dekretom antypolskim, to zaiste oni to byli prawdziwymi obrońcami polskości, a nie Szumany i inni Kościelscy, którzy widzieli w bismarkowskiej komisyi kolonizacyjnej sposobność zarobienia kilku marek a na wydalania sarkali tylko z tego względu, że ich pozbawiały „sił roboczych.“ Tak samo w historyi socyjalizmu polskiego punktem wytycznym zawsze pozostanie oświadczenie partyi „Proletaryjat,“ że po osiągnięciu wspólnego z socyjalistami rosyjskimi celu — czyli po obaleniu caratu, każda z partyj sprzymierzonych przeprowadzi u siebie te reformy, które uważa za stosowne, czem się żądanie niepodległości nawet wobec sojuszników wyraźnie i niedwuznacznie stawiało.

Zatem nie bądźmy przyczepką do kierunku, dla którego nie widać u nas żadnych warunków pomyślnego rozwoju, ale śmiało i otwarcie stawiajmy nasz sztandar, sztandar wyzwolenia ludu polskiego z pod wszelkiego ucisku, który na nim obecnie ciąży, a pociągniemy za sobą i lud pracujący i te nieliczne zdrowe elementy, które się w innych warstwach znajdować mogą, ale do samodzielnej polityki dość sił nie posiadają.

ŚWIĘTO 1-go MAJA
w Niemczech i u nas

Większością 235 głosów przeciwko 5 uchwalił kongres niemieckiej partyi socyjalistycznej nie składać roboty 1-go maja i ograniczyć się na zebraniach wieczornych. Uchwała ta ma dla nas znaczenie podwójne, raz ze względu na stanowisko, jakie partyja niemiecka zajmuje wśród innych partyj europejskich, powtóre z powodu licznych nici, które nas z tą partyją może bardziej, niż z jakąkolwiek inną, łączą. Dlatego nie możemy jej pominąć milczeniem.

Powiedzmy wprzód parę słów o znaczeniu demonstracyi majowej. Otóż przedewszystkiem idzie o to, by rzucić burżuazyi w twarz żądania proletaryjatu jak można najdobitniej. Jakiemi są te żądania, nie potrzebujemy tu chyba mówić, ponieważ jednak zdobycie całości żądań robotniczych wymagało by innych środków, jak demonstracyja, przeto postanowiono wysunąć naprzód żądanie 8-godzinnego dnia roboczego, ze względu na to, że skrócenie godzin pracy powinno być pierwszem wymaganiem proletaryjatu uświadomionego i pierwszą jego zdobyczą. Ale oczy-

wistą jest rzeczą, iż w każdym kraju można było wystawiać obok tego żądania wszelkie inne, tyczące się najbardziej palących potrzeb ludu. Tu odrazu przejdźmy do formy demonstracyi; zobaczymy, że nic nie mogło być odpowiedniejszem od porzucenia roboty. W jaki sposób bowiem przemówić dobitniej do mózgów burżuazyi, jak pozbawiając ją w ciągu przynajmniej jednego dnia tych zysków, które stanowią podstawę jej istnienia? Przytem, porzucając pracę i tem paraliżując liczne gałęzie życia społecznego, proletaryjat rzeczywiście zastrasza burżuazyję i, tem samem, skłania ją do ustępstw, w obawie czegoś gorszego.

Drugim momentem w święcie majowem jest stwierdzenie, za pomocą potężnej demonstracyi, solidarności międzynarodowej proletaryjatu. Ta myśl, że robotnicy całego świata cywilizowanego zdolni są do wykonania tak trudnego i niebezpiecznego przedsięwzięcia, jak ogólne porzucenie pracy, że nie obawiają się wszystkich prześladowań, jakie rozsrożona burżuazyja oraz rządy nie omieszkają na nich wywrzeć, — ta myśl zaiste więcej zdziałać może, niż liczne nawet i szczere manifesty i wynurzania się z przyjaźnią. Szczególnie ważnem było takie zadokumentowanie łączności proletaryjatu, gdyż stanowiło ono świetny kontrast z zupełną bezsilnością burżuazyi, gdy idzie o jakąś akcyję wspólną, międzynarodową, np. o uregulowanie prawodawstwa pracy lub o zwalczenie jakiej groźnej epidemii.

Wreszcie trzecim, ale wcale nie najmniej ważnym, punktem jest potrzeba takich środków, które by zaagitowały jak największe masy; agitacyja ustna i piśmienna obejmuje bowiem tylko pewną część proletaryjatu, po za którą pozostaje zawsze znaczna ilość ludzi, nie mających ani wykształcenia, ani wyrobienia politycznego dostatecznego, by brać udział w ciągłej walce politycznej. Powszechne porzucenie pracy, owe *święto robotnicze*, mające przypomnieć światu krzywdy ludu cierpiącego, jest dla takich mas rzeczą zupełnie dostępną, a przeto jest znakomitym środkiem agitacyjnym.

To są najważniejsze przyczyny, dla których partyje socyjalistyczne tylu krajów postanowiły obchodzić 1 maja. Ideja porzucenia pracy musiała rzeczywiście odpowiadać potrzebom, gdy jednogłośnie i bez poprzedniej uchwały na kongresie, w całej Europie została ona przyjętą, a póżniej w tylu miejscach wykonaną.

Nie będziemy się wdawali w historyję trzykrotnego święcenia 1 maja, ale powiedzmy tylko, iż rezultaty były wogóle wcale dobre. W wielu wypadkach były one zupełnie niespodziewane; w takich np. Włoszech, które co do rozwoju przemysłu stoją daleko niżej od Francyi, 1 maja 1890 roku lepiej niż w tej ostatniej się udał i gdyby nie bezsensowna prowokacyja anarchisty Landiego w Rzymie, którą kilkudziesięciu dzielnych ludzi okupiło krwią lub postradaniem wolności na kilka lat, a całe Włochy reakcyją, trwającą aż dotąd, to by i następne święta zapewne powiodły się; w Polsce naodwrót, czysto robotnicza i fabryczna. Łódź w 1892 roku daleko więcej zrobiła, niż posiadająca liczną drobnomieszczańską ludność Warszawa; to samo było we Francyi, gdzie Paryż był spokojny, podczas gdy na prowincyi święto powiodło się wcale nieźle. Nie podobna zatem wyciągać pozytywnych wniosków co do szans udania się święta, opierając się tylko na większem lub mniejszem skoncentrowaniu mas robotniczych w danym kraju; znaczna nędza lub silnie odczuwany ucisk polityczny mogą nieraz być czynnikami rozstrzygającymi. Można tylko wogóle powiedzieć, że 1 maja spowodował w wielu krajach niezmierne rozwinięcie ruchu robotniczego, a wszędzie podniesienie się uczucia solidarności międzynarodowej i potrzebę większej łączności między partyjami socyjalistycznemi.

Wszystko, cośmy powiedzieli o innych krajach, da się zastosować do naszych stosunków, dlatego też święcenie 1 maja jest dla nas rzeczą bardzo ważną, ale dodajmy zaraz, że pewne warunki zmuszają nas do demonstrowania nie w inny sposób, jak za pomocą zawieszenia roboty.

Zupełny brak swobody politycznej w prowincyjach znajdujących się pod rządami despoty petersburskiego, brak możności zbierania się, choćby takiej, jaka istnieje w szlacheckiej Galicyi lub w Poznańskiem — są dostatecznym powodem, dla którego jedyną formą protestu w zaborze rosyjskim może być bezrobocie. Że to bezrobocie może przybrać rozmiary imponujące, odpowiednie do znaczenia demonstracyi, tego dowiodły lata ubiegłe i ani poprzedzające regularnie demonstracyję masowe areszty, ani nahajki kozaków i kule żołnierzy nie potrafiły zastraszyć robotnika naszego, który krwią swoją przypieczętował należenie do wielkiej rodziny proletaryjatu europejskiego.

Ale nietylko brak swobód politycznych nadaje u nas takie znaczenie demonstracyi majowej. Są jeszcze inne względy. Przedewszystkiem, owe masy, które tak trudno wciągnąć do walki politycznej, liczniejsze są u nas, niż gdzieindziej. Święto majowe daje nam możność dostania się do tych mas, wstrząśnięcia niemi tak potężnego, że trudno zaiste byłoby znaleść lepszą sposobność. Jak pług parowy, który z niezmiernych głębokości wyciąga pierwiastki urodzajne i stokrotnie powiększa wydajność najbardziej zaniedbanego gruntu, tak święto majowe

przeorywa masy ludowe i czyni je podatnemi dla nauk socyjalizmu. Dlatego też święto majowe nie ma dla nas wyłącznie znaczenia protestu przeciwko zbyt długiemu dniu roboczemu, ale przeciwko całemu systemowi ucisku ekonomicznego i politycznego, pod którym jęczy proletaryjat polski, przeciwko tym specyficznie brutalnym formom, jakie ucisk i wyzysk u nas przyjmuje.

Oto są przyczyny, z powodu których potrzeba a nawet konieczność takiej demonstracyi, jak demonstracyja majowa, istnieją we wszystkich prowincyjach polskich. Przejdźmy do jej formy.

Otóż pod zaborem rosyjskim nawet mowy być nie może o zmianie formy demonstracyi. Pod tym względem warunki polityczne wskazują nam drogę, po której iść musimy. Ale i w innych zaborach, chociaż warunki polityczne, przynajmniej formalnie, są lepsze, jednak stan umysłowy i stopień wykształcenia politycznego mas każą nam nie odstępować od tego sposobu obchodzenia święta majowego, jakiego trzymano się lat poprzednich, czyli od złożenia pracy.

Socyjaliści polscy w Galicyi na lwowskiej konferencyi partyjnej uznali za konieczne obchodzenie święta majowego przez porzucenie pracy. Niema wątpliwości, że i pod zaborem rosyjskim robione będą usiłowania, by demonstracyja powiodła się jak najlepiej. W Poznańskiem tylko wątpimy, by towarzysze nasi znaleźli możność obalenia przeszkód, przed któremi cofnęła się zasobna w środki wszelkiego rodzaju partyja niemiecka.

Przy takim stanie rzeczy w interesie naszym leży, by święto 1-go maja obchodzone było w całej Europie tak, jak i u nas. Jest to bowiem rzeczą niewątpliwą, że dotychczasowe powodzenie święta majowego w znacznym stopniu przypisać należy jego jednoczesnemu i jednakowemu obchodzeniu we wszystkich krajach. Dlatego w interesie zarówno naszym, jak i całego ruchu robotniczego wolelibyśmy, żeby decyzyja partyi niemieckiej w sprawie święta majowego była inną.

Oczywista rzecz, że mówiąc to, nie mamy bynajmniej zamiaru wytykania naszym towarzyszom niemieckim dróg, po których oni iść mają. Jedynie ich kompetencyi podlegają sprawy wewnętrzne partyi niemieckiej i my się do tych spraw bynajmniej mieszać nie chcemy. Ale kwestyja święta majowego w tak znacznym stopniu przechodzi w dziedzinę międzynarodową, że niepodobna nam jest zachować się wobec niej obojętnie.

Dla tej samej przyczyny, mianowicie z powodu międzynarodowego charakteru święta majowego nie powinniśmy się ograniczyć na krytykowaniu uchwały partyi niemieckiej, ale wytężyć wszystkie nasze siły, by utrzymać dotychczasowy charakter święta majowego. Dla dopięcia tego celu mamy dwie drogi: wypowiedzenie się na kongresie międzynarodowym zurychskim za święceniem 1-go maja przez złożenie pracy oraz działanie energiczne w kraju przy okazyi nadchodzącego obchodu.

Pierwsze jest rzeczą niezmiernie łatwą, gdyż jeżeli socyjaliści polscy nie podniosą kwestyi święta majowego na kongresie, to uczyni to bez wątpienia jakakolwiek inna partyja, dlatego może być, że rola nasza ograniczy się na głosowaniu. Ale głosować będziemy mogli z zupełnem przeświadczeniem o swem prawie, gdyż obchód majowy w Polsce nie ustępował wcale obchodowi w innych krajach, a nawet niektóre z nich przewyższył. Daleko ważniejszem zadaniem jest przygotowanie się do przyszłej demonstracyi. Nie potrzebujemy rozwodzić się tutaj, jak to zadanie jest trudne. Terroryzm, rozwinięty przez rząd w Łodzi w roku ubiegłym, ciężka zima, która daje się we znaki niejednemu robotnikowi — to są okoliczności nieprzyjazne. Ale za to korzystnym dla nas jest rozgłos, jaki sprawa łódzka nadała świętu majowemu oraz wzrastająca bez ustanku i w sposób zupełnie widoczny świadomość naszych robotników. Dlatego z ufnością możemy patrzyć w przyszłość.

Pamiętajmy o tem, że od powodzenia święta majowego u nas zależnem jest znaczenie, jakie przydawać będą socyjaliści innych krajów naszemu głosowi i że najlepszym środkiem dla utrzymania uchwały brukselskiej przy sile jest wykonanie jej i to w jaknajwiększych rozmiarach przyszłego 1-go maja.

Korespondencyja z Armenii.

Po wojnie rosyjsko-tureckiej, która tak gwałtownie zachwiała już wcześniej naruszonemi podwalinami rządu tureckiego, w liczbie wielu ludów podległych Turcyi obudzili się również ormianie z pięćsetletniego snu niewoli. Rozpoczął się dość żywy ruch w Konstantynopolu, tak zwanem centrum umysłowem ormian tureckich. Na czele ruchu tego stał popularny wśród ormian patryjarcha konstantynopolitański Nerses Varjapétian — szczery patryjota, a po części i dyplomata. Korzystając z anarchii, która zapanowała w sferach tureckich rządowych, i opierając się na popularności swojej wśród mas, Varjapétian tuż pod bokiem sułtana zaczyna w tak zwanych ze-

braniach narodowych — propagować myśl o potrzebie wyzyskania okazyi i zdobycia autonomii dla Armenii tureckiej. A gdy armia rosyjska stanęła u bram Carogrodu, Varjapétian w imieniu narodu posyła do Gorczakowa przedstawicieli z prośbą o „uwzględnienie położenia cierpiącego męki ludu chrześcijańskiego i t. d.“

Ten krok już daje pojęcie o tem, jak musiał się skończyć ledwie rozpoczęty ruch. Gorczakow obdarza naszych przedstawicieli 16-tym artykułem umowy z San Stefano. Gdy zaś Europa wezwała strony wojujące do Berlina, to zjawili się tam również — po uprzednich pielgrzymkach od jednego gabinetu do drugiego — nasi reprezentanci. Rola ich na kongresie berlińskim zupełnie odpowiednią była dla gości nieproszonych. Jednak Bismark, Gorczakow i inni uważali, niewiadomo dlaczego, za niewygodne pominąć ormian i — jakby na żart — przestawiając cyfry artykułu umowy z San-Stefano, dali go nam pod nazwą 61-go artykułu traktatu berlińskiego. Oto treść owego sławetnego artykułu:

„Wysoka Porta obowiązuje się do natychmiastowego uskutecznienia tych reform i zmian, jakich wymagają miejscowe warunki prowincyj zaludnionych przez ormian, i do obrony ich bezpieczeństwa od czerkiesów i kurdów. O środkach w tym celu przedsięwziętych winna ona peryodycznie zawiadamiać mocarstwa mające czuwać nad ich wykonaniem.“

Co prawda, niezupełnie wyraźne nadzieje naszych patryjotów-dyplomatów nie urzeczywistniły się, lecz jako ludzie giętcy, jak wogóle wszyscy patryjoci, zaczęli oni śpiewać hymny na cześć „kopalni złota“ (vosske hank), którą kongres berliński obdarzył ormian. Nic dziwnego więc, że słabe umysły zaledwie rozbudzone zasypiają znowu przy słodkim szmerze patryjotycznych kołysanek. Cóż im pozostało do roboty, gdy chrześcijańska Europa obiecała uwolnić ich z pod jarzma mahometańskiego?

Tak upływa około dziesięciu lat. Jakkolwiek by się starano uwagę narodu zająć „kopalniami złota“, nie mógł on jednakże nie zauważyć, że mocarstwa europejskie coś o nim zapomniały; położenie jego co dzień staje się gorsze, napady kurdów i czerkiesów nabierają wciąż ostrzejszego charakteru, a reform nie widać.

Natenczas t. j. mniej więcej przed ośmiu laty, niejaki Portugalian zaczął wydawać w Marsylii dziennik „Armenija“. Na to właśnie czekała nasza młodzież niedoświadczona w sprawie rewolucyjnej. Pełna namiętnego dążenia do pomocy czemkolwiek narodowi, upadającemu pod ciężarem tureckiego jarzma, z zapałem rzuca się ona do popierania „Armenii“ zarówno piórem, jak i środkami. Wszędzie powstają kółka dla podtrzymywania tego organu, oraz dla prowadzenia spraw przezeń rozpoczętych. W ten sposób upływają dwa lata, najlepszy okres istnienia „Armenii“. Zapalone głowy stygną, pierwszy entuzyjazm ustępuje bardziej poważnemu zapatrywaniu się na sprawę rewolucyjną. Konieczność ściśle określonego programu staje się kwestyją dnia. Zażądano takowego od redakcyi „Armenii“. Wówczas Portugalian ogłosił statuty „Ormiańskiego Związku Patryjotycznego“; cele tego związku były bardzo proste: płacić składki i prenumerować „Armenię“; prezesem i kasyjerem miał być p. Portugalian. Zaznaczmy tu odrazu, że związek ten oprócz zebrania pewnej ilości pieniędzy, żadnej działalności nie wykazał.

Tak niezwiłe przedsiębiorstwo p. rewolucyjonisty-redaktora musiało rzucić się wszystkim w oczy. Otóż więc grupa młodzieży uniwersyteckiej zakłada w Londynie drugą drukarnię ormiańską i zaczyna wydawać „Hentchak“, rewolucyjną gazetę o ściśle określonym programie.

W rok po ukazaniu się „Hentchak“u rozpoczęło się również w Londynie wydawnictwo ormiańsko-francuskiego organu „Haïastan“ (w tłómaczeniu — „Armenija“); po upływie jeszcze jednego roku ukazuje się również tam angielsko-francuska gazeta „L'Arménie“. Obydwa te miesięczniki postawiły sobie za zadanie obronę martwego artykułu 61-go traktatu berlińskiego, a treść obu organów wyczerpywała się prawie i wyczerpuje się dotąd listami „grzecznych europejczyków“, wynurzających na prośbę redaktorów „swoją sympatyję do chrześcijańskiego narodu ormiańskiego, jęczącego w niewoli mahometańskiej“.

Wreszcie przed dwoma laty zaczęto niewiadomo gdzie i przez kogo wydawać pismo „Dromak“ (Sztandar) — organ „federacyi ormian-rewolucyjonistów“. Nagle rozpoczęte, również nagle przerwane zostało wydawnictwo tej gazety. Wyszły zaledwie trzy numery z trzema wzajemnie sobie przeczącymi programami. Jedyny objaw życia tej „federacyi rewolucyjonistów“ wyraził się w zebraniu na Kaukazie na rzecz naszego ruchu rewolucyjnego w tureckiej Armenii dość znacznej sumy, która, jak twierdzą złośliwi, „znikła bez śladu“. Wiadomo także, iż założyciele tej federacyi dołożyli wszelkich starań, by dostać się na wysokie posady u szacha perskiego, (jeden z nich nawet zdobył się na prośbę do szacha, pisaną złotemi literami na pargaminie) a to w celu oddziaływania na nasz ruch rewolucyjny w Turcyi z wyżyn perskiego dygnitarstwa. Jakkolwiek nieprawdopodobnym wydaje się taki nonsens, jednak jest to fakt autentyczny, znany każdemu mieszkańcowi Kaukazu, który bodaj trochę zajmuje się kwestyjami politycznemi.

Nie będziemy się zatrzymywali nad mnóstwem wydawnictw armeńskich, które na czas krótki i z najrozmaitszymi odcieniami ukazywały się we wszystkich prawie końcach świata od Egiptu i półwyspu Bałkańskiego aż do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki.

Z tego pobieżnego zarysu czytelnik może wywnioskowałby, iż istnieją u nas trzy partyje: partyja patryjotów z marsylską „Armeniją“ na czele; partyja patryjotów-dyplomatów z londyńską „L'Arménie“ i wreszcie partyja rewolucyjonistów z „Hentchak“iem. Nazwać pierwszą z nich, składającą się z redaktora Portugaliana i kilku nieuków korespondentów, partyją, byłoby co najmniej śmieszne. Mają oni na nasz ruch rewolucyjny tyleż wpływu, co cesarz chiński. Jeszcze gorzej stoi sprawa „L'Arménie“.

Wszelka partyja wogóle, a zwłaszcza partyja rewolucyjna ma o tyle tylko racyję bytu, o ile podtrzymują ją masy. Grupa „Hentchak“istów, pomimo tego, iż jest nieliczną i pomimo napaści patryjotów i narodowców naszych wszelkiego gatunku i rodzaju, — dzięki zaiste żelaznej energii swych założycieli, stworzyła sobie w krótkim czasie całą armiję zwolenników, karnych zarówno pod względem taktyki, jak niemniej pod względem celu rewolucyjnego ruchu.

Gdy przed trzema laty tureckiemu ministrowi spraw wewnętrznych zameldowano, że partyja „Hentchak“istów przysłała do Konstantynopola i Małej Azyi swych przedstawicieli w celu organizowania ludu przeciwko rządowi, — uśmiechnął się on tylko. Lecz nim upłynęły dwa tygodnie, śmiech ten pociągnął za sobą pozbawienie wysokiego dygnitarza jego godności; mało brakowało, by nie zapłacił deportacyją do Arabii za to, że mimo ostrzeżenia nie powziął należytych środków przeciw zarazie rewolucyjnej, która przejawiła się rozruchami w Kum-Kapu (dzielnica Konstantynopola, w której znajduje się ormiański kościół katedralny i patryjarchat). Dopiero po tych rozruchach ocknął się rząd sułtański i oto stolica turecka zapełnia się szpiegami i nad nimi wyznaczają drugą warstwę szpiegów, a nad tymi jeszcze trzecią. Chciwość do łapówek tureckiej biurokracyi uniemożliwiała wszel-

ki inny system szpiegostwa. Policyja tajna i jawna łapała wszystkich i dość było pewności, że z tego lub owego można zedrzeć cokolwiek, a natychmiast go chwytano, grożono niemal piekłem, a po odebraniu wszystkiego, co zabrać można było, — czasami kilku piastrów*) — wypuszczano. Powszechnie wiadomo, do jakich nadużyć uciekały się (i uciekają) władze tureckie w Konstantynopolu w czasie rewizyj mieszkań niby podejrzanych; podrzucanie zakazanych wydawnictw w czasie tych najść policyjnych poruszyło nawet konstantynopolitańską opiniję publiczną. Miano przy tem na widoku jeden tylko cel — łapownictwo, prosty i jawny rabunek, który doprowadził rząd do tego, że został zmuszony zapełnić więzienia własnymi obrońcami — szpiegami. Oto czem tłomaczy się powszechnie znane deportowanie całych pułków szpiegów do miejscowości odległych lub nawet do ciężkich robót, — byli to ci „którzy pomagali ucieczce zagranicę prawdziwych rewolucyjonistów“.

Po niejakim czasie spokoju, gdy rząd sądził, że wykorzenił do szczętu rewolucyjną organizacyję — całkiem niespodzianie dla niego — w tym samym ormiańskim kościele katedralnym, w którym było poprzednio zaburzenie, ranny został kulą zdrajca arcykapłan Tadżat. Lecz jakaż była wściekłość rządu, gdy zdrajca Chagik poległ od trzech kul i pchnięcia sztyletem w biały dzień na ruchliwej stołecznej ulicy — Galacie. Znakomita była przytem czujność tureckiej policyi: pomimo południa i ruchu panującego na placu, terrorysta po egzekucyi śmiało rozrzuca na prawo i na lewo odezwy komitetu centralnego; pozostawia w ten sposób ślady za sobą, a mimo to udaje mu się schronić przed policyją.

Wtedy również ze wszystkich stron i na wszelkie sposoby rozpoczęli lamentować nasi domorośli patryjoci i narodowcy. „Na miłość boską, cóż to są za ormianie, którzy mordują własnych rodaków? Wszak ksiądz to ziomek; Chagik — ormianin! Nie, tylko wrogowie narodu mogą dopuścić się takich czynów. Na boga, — ksiądz.... w czasie nabożeństwa.... w kościele ormiańskim.... niemal z monstrancyą w ręku!...“ Na wszystkie te lamenty, łzy i zaklęcia patryjotyczne, organ rewolucyjonistów odpowiedział milczeniem pełnem wzgardy i lekceważenia, zaznaczając tylko fakt, że od wielu, wielu wieków po raz pierwszy zdarza się, iż kościół ormiański kadzi się dymem prochu rewolucyjnego.

Zaiste fakt znaczący! Warto go było konstatować! Od niego miała się rozpocząć nowa era w życiu naszego narodu!

Ściśle rzecz biorąc, dopiero od czasu rozruchów w Konstantynopolu i szeregu terrorystycznych faktów w rodzaju wyżej opisanych, partyja rewolucyjonistów wystąpiła na pole walki w Armenii Tureckiej.

Mając do czynienia z czytelnikami, których znacznej większości nieznaną jest Armenija i lud jej, uważamy za konieczne przerwać tok naszego opowiadania i powiedzieć słów kilka o ormianach i o Armenii.

Pod względem położenia geograficznego Armenia zajmuje prawie całą środkową część półwyspu Małej Azyi i południowo-zachodnią stroną styka się prawie ze Śródziemnem morzem. Tu właśnie leży Taurus Cylicyjski, którego mieszkańcy, górale Zejtuńczycy, zadziwiali swą odwagą wszystkich cudzoziemców, którzy odwiedzali ich prawie niedostępny kraj. Garść ta górali utraciła niepodległość dopiero w zeszłym wieku a raczej na początku tego wieku, od 1869 roku zaś jest ciągle w stanie oblężenia. Powstania masowe i prawie nieustanne stanowią w ostatnich czasach jedyny objaw życia tego kraju.

Ormian liczą zwykle pięć milijonów: większość około $3\frac{1}{2}$ milijona żyje pod jarzmem tureckiem, około milijona pod samowolą carską, a reszta podlega władzy „króla królów“ (Szacha Perskiego). Tak dzieli się ogół ormian; można ich wszakże spotkać wszędzie, jak w Europie, tak również w Azyi a nawet w Ameryce. Lecz kolonije te są tak nieznaczne, że zwykle nie bierze się ich pod uwagę.

W Europie, a zresztą wszędzie po za granicami Armenii, zwykle uważani są ormianie za handlarzy. Jest to o tyle słuszne, o ile faktem jest, że po za granicami Armenii spotkać można tylko ormian-handlarzy, ludzi w najwyższym stopniu wstrętnych. Znakomitą większość ormian — nawet na Kaukazie — stanowią włościanie, a następnie rzemieślnicy.

W starożytności Armenija była wielkiem mocarstwem z 36 milijonami ludności. Nasi patryjoci z dumą gęsi, których przodkowie uratowali Rzym, do dziś dnia jeszcze chełpliwie nadymają się, wspominając jak nawet despoci bizantyńscy starali się o przyjaźń naszych przodków, jak bili się oni z Aleksandrem Macedońskim i t. d. Upadkowi Armenii sprzyjało zwłaszcza geograficzne jej położenie: była ona polem nieustannych najazdów półdzikich ludów, które ją otaczają. Można wyobrazić sobie położenie Armenii, gdy się przypomni np. napady na Europę hord azyjatyckich, w rodzaju Czyngis-hana, które za sobą zostawiały zgliszcza i rzeki krwi. Pomimo jednak tych nieprzyjaznych warunków, Armenija trzymała się aż do 14 go wieku, gdy obok wrogów zewnętrznych wszczęły się waśnie wewnętrzne, które były główną przyczyną ostatecznego jej upadku.

Do tego zarysu bardzo pobieżnego uważamy za potrzebne dodać, że ormianie wogóle — jest to naród w najwyższym stopniu przedsiębiorczy, pracowity, dość ruchliwy i chętnie przyjmujący reformy. Zmysł samopomocy, żądza samodzielności i samorządu, popęd do udoskonaleń, rozwoju i postępu ogólnego — są to niemal charakterystyczne rysy narodu ormiańskiego. Bezwątpienia jest to jedyny naród azyjatycki, mogący przystosować się do europejskiej cywilizacyi

Co się tyczy politycznego i ekonomicznego położenia narodu ormiańskiego, to dość pod tym względem, zdaje się, przypomnić sobie owe trio rządów zaborczych, o którem mówiliśmy. Jak żyje naród ormiański na Kaukazie? Oczywiście, iż tak samo, jak wogóle wszyscy poddani Rosyi. Czyż my potrzebujemy opowiadać o samowoli carskiej — polakom? Któż, jeśli nie polak, musiał od kołyski czytać we łzach matki o rozstrzelanym ojcu, powieszonym bracie, o uwięzionej siostrze? Rosyjski despotyzm kocha się w jednostajności i dla nikogo nie zna pobłażania. Niema wątpliwości, że przy takim sposobie rządzenia nie może być żadnej różnicy między poddanymi, gdy wzięto za hasło: ciemiężyć i rabować ich aż do wyniszczenia, do ostatniej kropli krwi.

Rząd rosyjski, który — zdaniem naszych patryjotów-dyplomatów — powinien był użyć wszystkich sił swych na poprawę położenia ormian kaukazkich, by wzbudzić zazdrość ich współplemiennych braci w Turcyi, a w ten sposób, z jednej strony zwrócić ich uwagę na siebie, z drugiej zaś strony odwrócić ją od rządu królowej angielskiej, — postępował, jak powszechnie wiadomo, wręcz sprzecznie z temi, co najmniej, dziecinnemi nadziejami. Zamknięcie wszystkich szkół ormiańskich na Kaukazie i za Kaukazem w ciągu półtora roku, nielegalna nominacyja Makarego, nieobranego przez przedstawicieli ludu, na katolikosa wszech ormian, oddanie szkół naszych pod zarząd ministeryjum „ogłupiania ludu“, przedwczesne zaprowadzenie poboru do wojska, oddanie narodowych dochodów i rozchodów pod kontrolę rządu i t. d. i t. d. — są to wszystko reformy, zupełnie zgodne ze znanym kierunkiem des-

*) Piastr — 8 kop.

potyzmu rosyjskiego, lecz, ma się rozumieć, bynajmniej nie obiecujące poprawy położenia ormian kaukazkich. Wogóle w ostatnich czasach za panowania Aleksandra III, kierunek rusyfikacyjny coraz mocniej nawet na Kaukazie odczuwać się daje, zwłaszcza względem ormian. W Europie, szczególniej zaś w Anglii, sądzą niektórzy, jakoby rewolucyjny ruch ormiański prowadził się niemal pod protekcyją rządu rosyjskiego. Nie masz nic śmieszniejszego nad to przypuszczenie! Despotyzm rosyjski szeregiem faktów dowiódł — w najbezczelniejszy sposób — że zapatruje się na nasz ruch daleko bardziej nieprzyjaźnie, niż sam rząd sułtana, przeciwko któremu, jak dotąd, skierowany jest nasz ruch rewolucyjny. Wiadomo, że policyja rosyjska oddawała w ręce Turcyi setkami ormian, którzy po rozruchach w Kum-Kapu opuścili Konstantynopol, niechcąc być zrabowanymi przez biurokracyję turecką. Stróże Aleksandra III doszli do tego, że łapali i wydawali bez żadnego śledztwa każdego tureckiego poddanego ormianina. Charakterystycznem jest to, że z pomiędzy wydanych nikogo prawie w Turcyi nie ukarano. Gdy w 1890 r. oddział ormian, mieszkańców Kaukazu, ruszył na granicę Turcyi, by przyjść z pomocą swym braciom, pobitym w Erzerumie, to rząd rosyjski posłał przeciwko nim kozaków; wynikła dość żwawa potyczka, i z obu stron na placu boju pozostało kilkadziesiąt zabitych. Dwudziestu ochotników schwytali kozacy; w Karsie wyznaczono na nich sąd wojenny; prokurator żądał „powieszenia tych łotrów, tej bandy złodziei, rozbójników i morderców". Wiadomo również, jak kaukazki generał-gubernator straszył naszych bogaczy za to, że jakoby podtrzymują materyjalnie ruch rewolucyjny. I t. d. i t. d.

W Persyi żyją ormianie tak, jak wogóle może żyć lud pod panowaniem króla w drugiej potędze, „króla królów", chociaż, względnie rzecz biorąc, specyjalnych prześladowań ormian w Persyi w ostatnich czasach nie widać. Wielu nawet przesadza ormianofilstwo Nasr-Eddina, tem właśnie dadzą się wytłómaczyć prośby, pisane złotemi literami przez założycieli samozwańczej „federacyi rewolucyjonistów ormiańskich".

Lecz przerwijmy to a powiedzmy teraz parę słów o rządzie tureckim.

Turcyja jest to kraj zupełnego absolutyzmu; na czele rządu stoi sułtan, despota — azyjata w szerokiem znaczeniu tego słowa. Kiedyś nadano Turcyi coś w rodzaju konstytucyi; inaczej trudno oznaczyć ten niby konstytucyjny okres w historyi tureckiego baszybuzuctwa. Konstytucyja, podarowana przez jednego sułtana — nazajutrz przez drugiego zniesioną została. Lud tyleż o niej pamięta co o zeszłorocznym śniegu. Są to okrutne nauki historyi: swobody nie można dostać w podarunku, ją trzeba zdobywać, brać z bronią w ręku; konstytucyję podarowaną można tak łatwo cofnąć, jak rzecz, o której istnieniu posiadacz nie ma pojęcia.

Turecki absolutyzm z sułtanem o nieograniczonej niczem władzy na czele jest rzeczą zupełnie specyficzną: zupełna anarchija od góry do dołu — oto obraz rządu sułtana. Tu sułtanem jest literalnie każdy żołdak, każdy pisarek; każdy z nich cieszy się zupełnym brakiem kontroli, zupełną nieodpowiedzialnością, jednem słowem, wszelkiemi prawami i przywilejami jakiegoś autokraty, robi wszystko, co mu się żywnie podoba i tak jak zechce.

Kompletny brak prawa — oto cecha charakterystyczna rządu tureckiego; jest to śliczny okaz galimatyjasu anarchicznego. Jedyny system, który się spotyka w Turcyi, to łapownictwo posunięte do przerażających rozmiarów. Wszyscy, począwszy od sułtana a kończąc na ostatnim żandarmie — „zaptije" — prosto i jawnie trudnią się złodziejstwem, noszącem miano łapownictwa. By otrzymać godność ministra, przekupuje się sułtana; ministrów przekupuje warstwa biurokracyi idąca za nimi: gubernatorzy — ministra spraw wewnętrznych, posłowie i konsule — ministra spraw zagranicznych, wyżsi wojskowi — ministra wojny, prezesowie sądów i wyższe duchowieństwo Szeika-ul-Imama i tak idzie dalej krok za krokiem, stopień po stopniu aż do zwyczajnego żandarma, do stróża kancelaryi powiatowej lub meczetu. „Bez łapówki nic, a z łapówką wszystko" — powiada przysłowie ludowe i dodaje rodzajem wyjaśnienia: „zabij prawicą sułtana, a lewicą posmaruj, bądź pewien, że cię nie ruszą, tylko posadzą kogoś innego na twoje miejsce; lecz jeśli jesteś ubogi, a syna twego zarżną wobec sułtana i wielkiego wezyra, to chociaż będziesz miał za świadków najgrubsze ryby — sąd cię nie obroni, dopókąd nie posmarujesz."

Literalnie nigdzie na świecie nie można spotkać takiego z u p e ł n e g o braku prawa jak w cesarstwie otomańskiem. Z tego bynajmniej nie wypływa, że w Turcyi nie ma praw. A jakże! są one nawet w gruncie rzeczy bardzo liberalne. To tylko nieszczęście, że ich nikt nie zna, a przedewszystkiem nie uznaje i uznawać nie chce.

Powtarzam prawa istnieją, a w dodatku w olbrzymich folijałach. Istnieje nawet w Konstantynopolu fakultet prawny, gdzie wykładają ministrowie, nie mający pojęcia o prawodawstwie, a uczy się niewiadomo kto. Na papierze w Turcyi istnieje wszystko, więcej nawet niż potrzeba; *de facto* zaś nic prócz rzeczywistej anarchii.

Podług prawa np. żaden naród nie jest tak m a ł o opodatkowany jak tureccy poddani. Podatków pośrednich nie ma wcale prawie (Europa nie pozwala). Podatki bezpośrednie zaś określają się np. dla chłopa jedną dziesiątą częścią jego zbiorów (w naturze). Lecz dzięki bezprawiu i zupełnej samowoli biurokratycznej lud oddaje większą część tego, co mu daje ziemia. A przeto, mimo urodzajnego gruntu, cała ludność turecka żyje w ubóstwie nie dającem się opisać. Przyjedzie np. poborca podatków odbierać dziesięcinę i zamiast dziesięciny odkłada połowę. Chłop nie zgadza się. Poborca w milczeniu odchodzi. Zbliża się zima; rozpoczęły się deszcze jesienne; nieszczęsny chłop nie wie co robić; za parę dni cały owoc jego rocznej pracy zgnije. Chłop nie chciałby uledz bezczelnemu zdzierstwu, lecz bardziej jeszcze boi się zostać bez ziarenka zboża na zimę. Wreszcie, zdesperowany idzie do urzędnika-poborcy. „Przyjdź, bierz połowę, pal cię dyjabli, byle dzieciska miały co jeść zimą". Poborca go wtedy zwymyśla, nieraz obije, przyjedzie i zabierze — za karę — ośm dziesiątych części za nieusłuchanie w swoim czasie. Spytacie, dlaczegóż chłopi znoszą takie bezprawia, wszak mogą zwracać się do wyższej władzy? Ba, u wyższej władzy możeby i dało się coś wskórać, gdyby poborca nie wyprawiał takich hec wspólnie ze swymi przełożonymi, za ich radą i zgodą.

Często się zdarza, że jedną wieś wypuszczają dwóm dzierżawcom podatków, przyjdzie jeden i zabierze, ile może. Przychodzi drugi — to samo. Obaj mają w porządku wszystkie upoważnienia do zbierania podatków. Żandarmi, siła konieczna w takich wypadkach, zawsze są gotowi do usług na wezwanie dzierżawcy, bo również należą do podziału.

Trzeba wziąć pod uwagę, że więcej niż $^2/_3$ wszystkich dochodów państwowych pochłania utrzymanie sułtana. To nie żart utrzymywać całą hordę żon — kilkaset kobiet, najwymyślniejszych w świecie. Te nieszczęśliwe stworzenia mogą powetować sobie więzienie tylko przez najcudaczniejsze zachcianki. Każda z żon sułtana oddaje mu się dopiero wtedy, gdy wszyscy jej krewni, znajomi i znajomi znajomych ulokowani są na posadach. A ponieważ harem sułtana — krótko mówiąc — odświeża się co godzina nowemi żonami, dawne zaś wciąż uważane są za żony, to zrozumiałym jest istniejący w Turcyi niesłychany nadmiar urzędni-

ków, których jedynem powołaniem jest spustoszyć, zrabować i wyssać cały kraj.

Będziemy dalej mieli sposobność do mówienia o innym sposobie rekrutowania urzędników; tymczasem zaś przytoczymy parę przykładów, by pokazać do jakiej bezczelności posunięte bywa przekupstwo.

Deputat sądowy za dwuletnią służbę, która mu daje razem około 50 dukatów tureckich*) płaci gubernatorowi (za nominacyję), zależnie od miejscowości, 200 do 500 lub nawet 1,000 dukatów. Członek rady miejskiej, również za dwuletnią służbę, w ciągu której nie pobiera żadnej pensyi płaci gubernatorowi od 150 do 300 lub 500 dukatów, jakiś pisarz miasta powiatowego, by stać się po 5, 7 latach „prawdziwym“ pisarzem, płaci naczelnikowi powiatu za swą pięcio lub siedmioletnią zawsze nieopłacaną służbę 30 do 70 dukatów i t. d.

Oto ziemia obiecana! — zawoła czytelnik.

Rzeczywiście, kto widział lub słyszał, żeby urzędnik darmo służył ludowi i państwu i za swoją miłość ludu wierność państwu płacił takie przyzwoite sumki?

Wskutek tego systematu łapownictwa i dzięki jemu nie widać wcale wykonywania bodaj istniejących bezmyślnych i wzajemnie się znoszących praw świeckich i duchownych (koranu). Dla tych samych przyczyn urzędnik tak często zapomina o pierwszorzędnej wagi interesach państwowych. Dzięki łapownictwu często (o bardzo często!) najotwartsi wrogowie rządu uchodzą bezkarnie. Finanse też na tem cierpią. Przybywa np. urzędnik do oszacowania twego majątku. Daj mu ze dwa franki, a zamiast setek będziesz płacił rządowi jakieś jednostki. Takie jest ogólne położenie.

W szczegółach zaś położenie tureckiego urzędnika, jako jednostki, może być wspaniałą ilustracyją tego stanu febrycznego, w jakim znajduje się złodziej po włamaniu się do cudzego mieszkania. W obawie przed zjawieniem się gospodarza, musi z pośpiechem zabierać wszystko, co prędko zabrać można. Jota w jotę takie jest położenie urzędnika tureckiego, jeżeli nie ma za sobą szerokich pleców jakiejś sułtanki. Weźmy np. gubernatora. Interesem jego jest natychmiast po dostaniu się na posadę zmienić personal urzędniczy w całej prowincyi (ztąd pochodzą owe nie łychanie częste zmiany urzędników). Przy obsadzaniu posad nowymi urzędnikami jedyną wymaganą kwalifikacyją są pieniądze. Gubernator liczy się tylko ze swoją kieszenią; trzeba przecież zwrócić sobie tę sumę olbrzymią, jaką wziął minister. Rozchodzi się jednak nietylko o złupienie jaknajwiększej sumy. Ministrowi zależy na tem, by zmieniać gubernatorów jaknajczęściej. Gubernator więc jest nad brzegiem przepaści, a przeto musi zedrzeć jaknajwięcej — w jak najkrótszym czasie.

Ogromna większość urzędników nie umie nawet pisać i czytać. Każdy z nich ma swą pieczęć, którą przykłada na wszystkich przedstawianych mu papierach. W pewnych wypadkach rozpytuje się, czy ten i ten (z pomiędzy umiejących pisać) przyłożył pieczęć i, jeśli tak, to zaraz, wierząc na słowo, pluje na papier, potem wyciera palcem i w miejscu tem przykłada pieczęć. Jeśli zaś pieczęci nie ma, to poprostu macza palec w atramencie i przeciąga na papierze kreskę. W takich wypadkach pisarz stwierdza, że kleks ten, to podpis gubernatora lub kasyjera gubernijalnego i t. d.

Ale nietylko rząd bierze łapówki. Często on sam zmuszony jest do przekupywania. Przypuśćmy, że w jakiejś gubernii grasuje dowódca bandy rozbójniczej (w Turcyi jest ich ilość ogromna: co krzak — to rozbójnik, mówi lud). Już wielu gubernatorów straciło posady dzięki temu opryszkowi. Miecz Damoklesa wisi nad ich głową, jeśli go nie poskromią, gdyż minister spraw wewnętrznych szuka tylko pretekstu, żeby ich zastąpić przez kogo innego. Otóż nasz gubernator, by uniknąć tego losu, ucieka się do ostatecznego środka, (który zresztą teraz stał się zwykłym): przekupuje on rozbójnika i mianuje go na jedną z najwyższych posad gubernijalnych.

Czytelniku, jesteś niewątpliwie zdumiony; nie możesz zrozumieć, jak opryszek zgadza się na zaproszenie gubernatora: przecież mogą go schwytać — mówisz sobie. Tak należałoby sądzić, gdyby się nie miało do czynienia z rządem tureckim. Po pierwsze, gdyby władza postąpiła w tak „nieuczciwy“ sposób, to zamknęła by sobie drogę do poskromienia przez przekupstwo mnóstwa takich samych opryszków, a powtóre, pojmawszy dowódcę, rozjątrzyła by w straszny sposób jego bandę.

Historyja Musa-beja wszystkim jest znana. Zatrzymamy się nad nią na chwilę, by wyjaśnić europejczykom tę, niezupełnie dla nich zrozumiałą, operacyję poskramiania opryszków. Musa-bej, to prosty przewódzca bandy, jakich mnóstwo znajdziecie w Turcyi pod każdym krzakiem. Zwrócił on zaś na siebie szczególną uwagę dzięki temu, że ormianie podali na jego sprawki skargę do poselstw. Opryszek ten zarzynał ormian tak spokojnie, jak w Europie zarzynają kury. Poselstwa po całym szeregu nalegań i próśb ze strony ormian, gdy prasa zachodnio-europejska zaczęła już pisać o Musa-beju, zażądały od W. Porty, by rozbójnika przyprowadzono na śledztwo do Konstantynopola. Musa-bej wjeżdża uroczyście do stolicy. Za nim idą setki ormian, świadków jego czynów zbrodniczych. Zostaje naznaczony sąd w obecności przedstawicieli poselstw. Wszyscy oczekują, jeżeli nie kary śmierci, to, conajmniej, wiecznych ciężkich robót dla zbrodniarza. Gdzie tam! Nazajutrz po sądzie, zamiast wyroku, gazety urzędowe komunikują o mianowaniu Musa-beja policmajstrem stolicy. Posłowie, wzburzeni i oszołomieni, biegną do pałacu, prosto do sułtana. Ten nie ustępuje.

Posłowie zwracają się tedy ze zbiorową notą do Porty, oświadczając, że jeśli żądanie ich nie będzie wypełnione, to będą zmuszeni przedsięwziąć odpowiednie kroki dla swego bezpieczeństwa, ponieważ Konstantynopol jest w rękach rozbójnika. Dopiero pod wpływem tego argumentu Porta ustępuje, rzuca niby to Musa-beja do więzienia i po jakich dwu tygodniach oświadcza urzędownie, że on z więzienia uciekł.

Nasuwa się pytanie; czyż by sułtan tak lubił i cenił tego zbrodniarza? Nie, można to objaśnić jedynie położeniem nieszczęsnego więźnia Jaldyskiego między młotem a kowadłem: niech ukarze przewódcę, a cała banda wpadnie we wściekłość. To jest też przyczyną, że tylu patentowanych złodziei, rozbójników i wszelkich zbrodniarzy znajduje się wśród tureckiej biurokracyi. Konstantynopol przepełniony jest takimi dzikimi zwierzami, cóż dopiero mówić o prowincyi. Każdy taki szubienicznik ma nieograniczone pole do działania. Bo i któż może go okiełznać? Może wojsko słabe, całkiem zdezorganizowane? Kto widział chociażby jednego tureckiego żołnierza, musiał nad nim uczuć litość. Jest to pasierzb tureckiej anarchii. W samej stolicy nieraz spotkać mozna żołnierzy bosych, tak oberwanych, że prawie niepodobna określić, z jakiego materyjału było zrobione ich odzienie. Tak zw. „szajki koszarowe“ — pod dowództwem oficerów — można spotkać w Małej Azyi wszędzie, gdzie pułki stoją na kwaterach. No a włóczyć się po domach i żebrać — to jest zjawisko całkiem zwykłe w życiu żołnierza tureckiego. Nasze rewolucyjne organizacyje miewają broń rządową całemi masami: kupuje się ją od żołnierzy, stojących na straży rządowych składów broni. Jasna zaś rzecz, że żołnierz bez broni, to anomalija, wróżąca coś blizkiego i stanowczego. Żadnemi, choćby najsu-

*) Dukat turecki podług kursu wart jest około 10 rubli.

rowszemi karami, nie da się wykorzenić tego handlu bronią rządową: po pierwsze, gdyby władza istotnie zdecydowała się karać za to, to wypadło by koszary zamienić na więzienia, powtóre, jaka kara może być sroższa nad głód i chłód? Zresztą żołnierz turecki ma swój rozum; wynalazł on sposób uniknięcia kary: swoją broń mianowicie sprzedaje on tylko w wyjątkowych wypadkach, ale oto ukraść broń koledze i sprzedać ją — to jest rzecz całkiem normalna. W taki sposób okradają się oni wzajemnie, później sprzedają, często za bezcen.

Taka to jest armija, taka biurokracyja, taki ustrój państwowy „Świętego kraju Wielkiego Osmana“; taki wreszcie w najogólniejszych rysach obraz tureckiego ucisku, pod którego jarzmem jęczy cała przeszło dwudziestomilijonowa ludność Turcyi.

Niepodobna znosić bez szemrania takiego ucisku, którego bezmiar każdemu rzuca się w oczy. To też bezustanne bunty stały się — szczególnie w ostatnich czasach — stałem zjawiskiem w Turcyi. Dziś powstają arabi; rząd, ledwie zdąży ich pokonać (!?), rozumie się nietyle siłą, ile przekupstwem i podstępem, ma do czynienia znów z tersimczykami; ledwie skończy się sprawa w Tersimie, kiedy powstają cylicyjczycy i t. d.

Jak widzicie, grunt całkiem jest przygotowany na siew antirządowy. We wszystkich tych ruchach braknie świadomości i zgodności organizacyjnej w działaniu. To też potrzebną była partyja albo chociażby grupa ludzi dokładnie pojmujących duch czasu, ludzi szczerych i całkiem oddanych sprawie ludowej. Taką siłą stała się grupa Hentchak'owców, która dziś wyrosła na ogromną partyję.

Oto niektóre wyjątki z ich programu. Opisując położenie polityczne i ekonomiczne ormian w Turcyi, twórcy programu mówią: „Jesteśmy przekonani, że dla wyzwolenia ludu z tego nieszczęsnego położenia i dla utorowania drogi, która doprowadzi lud do dalszego celu -- do socyjalistycznego ustroju, jest rzeczą niezbędną zdobyć w Armenii Tureckiej szeroką wolność polityczną i niepodległość narodową, co jest właśnie naszym najbliższym celem.

„Dla utrzymania zdobytej już niepodległości i dla zagwarantowania postępu, jako jej skutku, powinny być natychmiast po zwycięztwie przeprowadzone następujące warunki wolności politycznej:

1°. — Stałe przedstawicielstwo narodowe, Zgromadzenie Prawodawcze wybrane swobodnie, drogą powszechnego i bezpośredniego głosowania, z instrukcyjami od wyborców. Zgromadzenie ma absolutną władzę we wszystkich kwestyjach narodowo-państwowych.
 a). Przedstawiciele narodu mogą być wybierani ze wszystkich stanów.
 b). Siedliskiem Zgromadzenia winno być jedno z ważniejszych miast Armenii.
2°. — Szeroki samorząd prowincyjonalny.
3°. — Szeroki samorząd gminny.
 a). (do punktów 2 i 3). Wszystkie urzędy społeczne opierają się na wybieralności przez lud.
4°. — Prawo wyborcze ma każdy, bez żadnych ograniczeń stanowych lub majątkowych.
5°. Zupełna wolność druku, słowa, sumienia, zebrań, stowarzyszeń i agitacyi wyborczej.
6°. — Powszechne uzbrojenie ludu.“ i t. d.

Następnie jest mowa w programie o reformach ekonomicznych, jako to: „należenie ziemi do ludu, system podatków postępowych, zniesienie podatków pośrednich, których cały ciężar pada przeważnie na lud roboczy,“ i wreszcie „powszechne, obowiązkowe i bezpłatne kształcenie kosztem państwa. Dalej jest mowa o sposobie organizacyi sił rewolucyjnych, o propagandzie, o terrorze, agitacyi i wreszcie o tem, czemu rewolucyjoniści armeńscy winni z konieczności całą swą uwagę i wszystkie swe siły zwrócić przedewszystkiem do wyzwolenia ormian tureckich. Popierwsze ogromna większość, a mianowicie $^{2}/_{3}$ ormian mieszkają w Turcyi, powtóre na mocy § 61 Kongresu Berlińskiego, ta najznaczniejsza część Armenii uznaną została i wprowadzoną do kodeksu prawa międzynarodowego przez wielkie mocarstwa europejskie, potrzecie najgorsze, najniebezpieczniejsze jest położenie ormian tureckich i najłatwiej jest wyzwolić się z pod jarzma tureckiego rządu, z powodu jego rozstroju politycznego i bankructwa ekonomicznego- „Przedewszystkiem należy zdobyć niezależność narodową i wolność polityczną dla ormian tureckich, poczem wspolnemi siłami należy dalej prowadzić dzieło wyzwolenia wszystkich ormian, wyzwolić z pęt niewoli zarówno rosyjskich jak perskich ormian i stworzyć jedną republikę demokratyczno-federacyjną: ona to utoruje dla Armenii drogę do dalszego celu, do idealnego społecznego, to znaczy socyjalistycznego ustroju, dokąd dąży cała ludzkość.“

Przejdźmy wreszcie do organizacyj i, żeby wykazać ich siłę i rodzaj ich taktyki, weźmy pierwszy lepszy przykład.

W odległej mieścinie Arabkir, gdzieś w środku Małej Azyi, wytwarza się, dzięki energii jednego propagandzisty, w ciągu krótkiego czasu dość silna organizacyja. Potrzebując broni i otrzymawszy od organizacyj sąsiednich miast wiadomość, że oddział armii rezerwowej ma wrócić do Arabkiru i tam ma być rozpuszczony, organizacyja czyni przygotowania do obławy na broń. Istotnie jak tylko wojsko wstąpiło do miasta, tej samej nocy odbierają mu przeszło sto sztuk broni. Centralny zarząd gubernii już dawniej czuł „coś niedobrego“ w powietrzu: fakt wymieniony całkiem potwierdza podejrzenia władzy. Rewizyje masowe nie osiągają żadnego skutku. Wysyłają tedy z miasta gubernijalnego znanego w całej M. Azyi szpicla Jusufa. Zbrojny we wszystkie zasoby swego urzędu nowy policmajster Jusuf uruchamia przeciwko tajnej organizacyi rewolucyjnej szajkę szpiclów. Przez dwa, trzy miesiące trwa wzajemne gorliwe śledzenie się. Przytem policmajster stosuje niesłychane środki ostrożności gwoli swego bezpieczeństwa. Nieszczęsny przeczuwał swój los i — jak mówią — długo nie chciał się zgodzić na przyjęcie narzuconego mu urzędu.

Pewnego pięknego poranku patrol nocny oznajmia władzy, że trup policmajstra leży na głównej ulicy miasta w kałuży krwi. Pierwszy to był wypadek, że organizacyja rewolucyjna wymierzyła karę przedstawicielowi rządu, przytem jednemu z wybitniejszych. Naczelnik telegrafuje o zdarzeniu do Konstantynopola.

Z powodu zgładzenia policmajstra, rząd centralny uważał za konieczne wprowadzić do Arabkiru nowy oddział wojska i zawiesić nad miastem stan oblężenia. Ale oto podobny fakt terorystyczny ma miejsce w Malacyi, niedaleko od Arabkiru. Jeszcze tydzień mija — i oto 50 ludzi, uzbrojonych od stóp do głów, schodzi z gór do Malacyi, burzy mury więzienia i — pod bokiem 200 żołnierzy i 30 konnych żandarmów — wyzwala wszystkich więźniów. Rząd na chwilę zapomina o Arabkirze i całą swą uwagę zwraca na Malacyję. Gubernator z rotą żołnierzy wyrusza na górali z okolic tego miasta. Ale zaledwie zdążył tam przybyć, otrzymuje on wiadomość telegraficzną, że tersimczycy powstali (również niedaleko od Arabkiru). Przewidując burzę, która nadciągnie z Konstantynopola, oszołomiony gubernator wyrusza na Tersim, zapominając i o Malacyi. Tu zaczyna się z obu stron siarczysta strzelanina, która jednak nie doprowadza do żadnych rezultatów. Nazajutrz tersimczycy jakgdyby zaczynają się cofać. Rozproszywszy się po gęstym lesie, oczekują oni napadu wojska, żeby przejść do pozycyi zaczepnej. Dowódca wojska kilkakrotnie wzywa żołnierzy, by zgodnie wyruszyli na nieprzyjaciela; ale widzi, że wojsko nie okazuje żadnej chęci potemu, rzuca się więc

sam naprzód, by własnym przykładem zagrzać podwładnych. Zaledwie jednak dał ostrogę koniowi, pada pod gradem kul powstańczych. Wojsko, zamiast ruszyć naprzód i pomścić śmierć dowódcy, cofa się i dalejże w nogi. W zamieszaniu ginie, bez najmniejszej winy powstańców, około 30 żołnierzy. Dzielna artyleryja, zostawiwszy na polu walki 3 działa górskie, pędzi zawiadomić gubernatora o wypadku.

Pierwszym czynem rządu centralnego jest pozbawienie gubernatora (Karpuckiego) posady*), poczem do Karputu zostaje wysłany nowy gubernator, z dwoma wysokimi urzędnikami wojskowymi. Wezwani są również gubernatorowie sąsiedni i wszyscy ci dygnitarze tworzą radę wojenną dla wytępienia zarazy rewolucyjnej. Rada postanawia całą swą uwagę skierować na Arabkir, „jako gniazdo zarazy“. „Należy przedewszystkiem oczyścić Arabkir“ — mówi jeden z generałów, na co inny robi uwagę, że „to byłoby możliwe dopiero, gdyby się całe miasto wysadziło w powietrze.“

Tak czy owak — postanawiają oni sprowadzić do Arabkiru wojsko z sąsiednich miast. Ale tu nastręcza się najwyższej radzie kwestyja finansowa: poprzednie wyprawy ogołociły i tak już niezasobne kasy gubernijalne. Zjednoczone siły trzech gubernij zaledwie mogą w przeciągu dwóch miesięcy dostarczyć niezbędną sumę, by wyprawić dwa pułki do „zarażonego“ miasta. Jest to fakt, dobrze znany każdemu tureckiemu poddanemu, który interesuje się ruchem ormiańskim. Przez ten czas gorące głowy uspakajają się i organizacyja przybiera pozycyję wyczekującą, usiłując nie dawać rządowi żadnych powodów do represalij.

Oto wreszcie, przy dźwiękach połamanych trąb żołnierskich, wojsko wstępuje do miasta; na jego spotkanie wychodzą miejscowi żołnierze w liczbie przeszło 400. W mieście panuje niezwykła cisza. Nazajutrz zaczynają się masowe rewizyje; władze nie znajdują ani jednego papierka, ani jednego noża (trzech miesięcy było chyba aż nadto, by wszystko uprzątnąć). Trwa to przeszło tydzień, wszystkie domy są przeszukane, a nic nie znaleziono. Zdawałoby się, że do niczego nie można się przyczepić. Ale biurokracyja turecka jest pomysłowa; rada układa spis mniemanych przywódców ruchu rewolucyjnego i każe aresztować przeszło sto osób. W mieście cisza; organizacyja wyczekuje, co to wyjdzie z tej komedyi.

Policyja zgromadza miejscowych bogaczy, do których nowy gubernator zwraca się z długą mową: „jeżeli nie wszyscy uczestnicy, to przynajmniej wszyscy kierownicy tej paskudnej sprawy są w rękach sprawiedliwości. Módlmy się więc do boga za pomyślność naszego troskliwego o dobro ludu i bogobojnego wielkiego sułtana Hamida i rozejdźmy się do domów. Śpijcie spokojnie, jestem pewien, że Arabkir jest oczyszczony od tych wolnomyślnych waryjatów.“ Ale zaledwie bogacze rozeszli się do domów i pokładli się spać, jak straszny huk budzi całe miasto. Okazuje się, że jakąś cudowną drogą dom zdrajcy Sirakaniana, kaznodziei ormian-protestantów, wyleciał w powietrze.

Wyobraźcie sobie popłoch władzy, szczególnie zaś prześwietnych gości rządowych. Nikt z nich nie śmie dać się na miejsce wypadku. Dopiero nazajutrz zaczynają się na nowo rewizyje i areszty. Do dawniej aresztowanych przyłączają jeszcze parę dziesiątków.

Mija jeszcze tydzień i znów cisza. Znowu zgromadzają bogaczy i gubernator oświadcza im, że on „osobiście odpowiada teraz za całkowity spokój“. Ale nie przechodzą nawet dwie godziny po tem jego zapewnieniu, jak biją na alarm z powodu pożaru. Gmach zarządu powiatowego — w płomieniach (na szczęście, prześwietni urzędnicy byli tego wieczora zaproszeni w gościnę). Kto podlał taką masę nafty? Kto podpalił? Allach to wie. Natychmiast telegrafują do miasta gubernijalnego, żądając wysłania kopij spalonych papierów i dokumentów: na to otrzymują odpowiedź, że i gmach zarządu gubernijalnego w ogniu, że i tam wszystko spłonęło (Ogłaszając te fakty, urzędowa prasa konstantynopolitańska dodaje: „ze względu na te pożary, przy których, niestety, spłonęły wszystkie dokumenty, nowy gubernator przedsięwziął energiczne kroki, żeby przez nie (t. j. przez pożary) nie otworzyły się nowe źródła łapówek“. Nie przeszkodziło to urzędnikom, a na ich czele samemu gubernatorowi, wyzyskiwać wypadki na szeroką skalę).

Rada wojenna, oszołomiona, zwraca się po rozkazy do ministra spraw wewnętrznych: ten, bojąc się zapewne gorszych skutków — co mu mogło grozić pozbawieniem posady — każe robić co im się podoba, „byleby nie było nowych rozruchów“. Tak też robią członkowie rady: ściągnąwszy jakie 2000 lir tureckich (w złocie), puszczają więźniów na wolność. Tylko pięciu z nich wysyłają do najbliższych gubernij a jakie dwa dziesiątki zabierają ze sobą i rzucają do centralnego więzienia gubernijalnego. Rozumie się, robią to z tymi, od których nie mogli nic dostać.

Czyż na tem się kończy oczyszczanie zarażonego miasta? zapyta zdziwiony czytelnik. Tak. Bo i na czemże mogło się skończyć? Żeby oczyścić miasto, istotnie trzeba by je wysadzić w powietrze. A.. tu każą nie wywoływać rozjątrzenia. „W jaki sposób potrafisz coś zrobić, kiedy ci związują ręce i nogi“, tak żalił się nam osobiście jeden z członków rady wojennej.

Działalność, podobna powyżej opisanej, miała głównie na celu wykazanie ludowi bezsilności rządu i przygotowanie go w ten sposób do rewolucyi. Musimy przyznać, że cel ten został znakomicie osiągnięty. Jeżeli nigdzie w Turcyi wiara w trwałość państwa nie jest silna, to w Armenii obecnie ona po prostu nie istnieje.

„Padiszachjan jasachy, ucz kjuń ołur“ (zakaz padyszacha ma siłę przez trzy dni) — mówi przysłowie ludowe, w którem się wyraża cała dezorganizacyja rządowa oraz samowola biurokracyi, które doprowadziły wielkie ongiś i potężne państwo Osmana do stanu zupełnego rozstroju ekonomicznego i politycznego, do stanu anarchii.

Ale jak objaśnić istnienie tej „kompanii złodziejów“, jak lubi się wyrażać lud? Kwestyja ta nasunęła działaczom rewolucyjnym myśl zbadania położenia ludności mahometańskiej w Turcyi. Fakty świadczyły aż nadto wyraźnie, że rząd, wypowiedziawszy wojnę armeńskiemu ruchowi rewolucyjnemu, liczy nietyle na własne siły, ile na poparcie ze strony ludności mahometańskiej. (Żeby nie omylić czytelnika, należy zauważyć, że bynajmniej nie na wszystkich mahometan liczy rząd. Np. tersimczycy, których liczą około 100 tysięcy rodzin, męzka połowa których jest doskonale uzbrojona, od wieków nie uznają jarzma sułtańskiego. O bezustannych powstaniach w Jemenie zapewneście słyszeli; — to cała Arabija z bronią w ręku walczy o swoją niepodległość. W samej M. Azyi mieszka wielkie plemię Kizilbaszów, w liczbie koło 3 milijonów; nie są to bynajmniej wierni poddani; niedawno zaczął się i pomiędzy nimi dość silny ruch, przyczem zrobione były próby zbliżenia się do istniejącego ruchu ormiańskiego).

Tak więc własny interes kazał naszym działaczom zwrócić baczniejszą uwagę na lud turecki. Przyjrzawszy się bliżej, nietrudno było zauważyć, że zarówno z politycznego, jak i ekonomicznego punktu widzenia położenie jego ani trochę nie jest lepsze, jeżeli nawet

*) Po miesiącu ten sam gubernator został przez ministra spraw zewnętrznych mianowany przedstawicielem rządu tureckiego przy szachu perskim.

nie gorsze od położenia ludu ormiańskiego. Na pierwszy rzut oka nasuwa się zatem pytanie: dlaczego-by turcy nie mieli się połączyć z sąsiadami we wspólnym ruchu przeciwko wspólnemu wrogowi? przecież wtedy upadek tego rządu baszybuzuków byłby rzeczą chwili! Jeden z działaczy rewolucyjnych mówił nam, że gdyby nawet lud turecki pozostał obojętny względem ruchu ormiańskiego, to — nawet przy dzisiejszej młodej organizacyi — zrzucenie jarzma nie przedstawiałoby szczególnych trudności. Faktem jest, że, kiedy nasi rewolucyjoniści prowadzili tajną propagandę, rząd jawnie i otwarcie podjudzał turków przeciwko chrześcijanom wogóle, a ormianom w szczególności.

Ale i na tem polu swojej działalności nie miał on powodzenia, a to dla następujących powodów: szczególnie w ostatnich czasach stawało się coraz jaśniejszem, że rząd, nim uzna różnicę między narodowościami, między turkami i chrześcijanami, przedewszystkiem uznaje różnicę między bogatym a biednym, między klasą wyzyskiwanych a klasą wyzyskujących i zawsze popiera i broni tych ostatnich — i t. d. To wszystko kazało turkowi zastanowić się. Lud turecki, szczególnie chłopi, istotnie jest bardzo ciemny: nikt dotąd nie pomyślał o nim, nikomu nie przyszło do głowy zająć się jego, niegodnem ludzkiej istoty, położeniem; mułła, do którego jedynie mógł on zwrócić się po radę, jeszcze bardziej pogrążał go w mroku religijnych przesądów; rozkosze Mahometowego raju — te półnagie czarodziejki, roznoszące mocną turecką kawę i aromatyczny kaljan — pociągały ciemny lud w dziedzinę marzeń o ponętach zagrobowych, wobec których zapominało się chociaż na chwilę o piekielnych warunkach rzeczywistości.

Ale towarzyszące opisowi raju Mahometa słowa mułły o życiu doczesnem ludu, o rządzie i jego stosunku do mahometan i chrześcijan musiały zawierać w sobie sprzeczność: jakkolwiek olbrzymią jest różnica w stopniu rozwoju między turkami a ludami europejskimi, jednak, zdaje się nam, że tym ostatnim trudniej jest czasami dać sobie radę z arkanami parlamentarnymi, niż ciemnemu turkowi z jawną grabieżą swoich baszybuzuków. Chłop turecki oddawna już szemrze przeciwko nielitościwemu, niczem nie zamaskowanemu uciskowi biurokracyi, którego cały ciężar na niego przeważnie pada. Czyż dużo trzeba, żeby zrozumieć bezprawie jawnego łupieztwa?

Rewolucyjoniści nasi nie mogli nie skorzystać z tych krzyczących nadużyć.

Dużo zrobiło pod tym względem istnienie u nas nielegalnych. Emigrować trudno, zresztą po co emigrować, skoro ma się jeszcze możność pracowania w kraju. To też wytworzyły się tak zwane drużyny górskie, mówiąc innemi słowy, zaczęło się „chodzenie między lud“ turecki. Ale wędrówka ta niezupełnie odpowiada temu, co było w Rosyi. Położenie rewolucyjonisty było takież same, jak w Rosyi. Antagonizm religijny istniał i istnieje jeszcze: żeby więc nie być schwytanym za kark i oddanym władzy; trzeba było zjawiać się do chłopa nie jako sentymentalny ludowiec, przebrany za włościanina, starannie uważający by nie zrobić żadnego ruchu nie-chłopskiego, nie użyć żadnego nie-ludowego wyrażenia i t. d. Trzeba było się zjawiać, jako grupy ludzi, uzbrojonych od stóp do głów, począwszy od 17-letniego młodzieniaszka i kończąc starcem 50—60-letnim (znaliśmy osobiście w jednej z takich drużyn starca 67-letniego). Drużyny te jawnie chodzą po wsiach, pod samym bokiem władzy piorunują przeciwko rządowi (bywały wypadki, że sami żandarmi pilnie słuchali mów takich propagatorów, otwarcie uznając ich zupełną słuszność), uświadamiają lud a w razie potrzeby podtrzymują go przeciwko wspólnemu wrogowi, czynem manifestując cel tego ruchu.

Powiedzmy słów kilka o wytworzeniu się pierwszej drużyny i o jej działalności.

Prawie na wybrzeżu Morza Czarnego, bardzo blizko od Konstantynopola, na górze Dawszandag (Góra Zajęcza), ciągnie się szereg wsi, w liczbie kilkuset, pod ogólną nazwą Dranik. Mieszkają tam razem turcy, ormianie, kurdzi i grecy. Mimo blizkość stolicy (a może właśnie dzięki temu), wsie te były w niesłychany sposób ciemiężone przez urzędników. Lud jest tam nadzwyczaj pracowity; ziemia w całej Turcyi słynie z urodzajności; najlepsze plantacyje tytuniowe Turcyi znajdują się tutaj; lasy, rzeki i strumienie są w obfitości. Ale, mimo te zasoby naturalne, lud, zamieszkujący te góry urocze, żyje w strasznej nędzy. Pracując od wczesnego ranka do późnej nocy, włościanin nic nie ma oprócz czerstwego chleba i kawałka twardego, jak kamień tana (wysuszony twaróg). Chodzi on w jakichś łachmanach, kończących się ostrymi ząbkami. Oczywista, ząbki te nie są wymaganiem mody, lecz świadectwem zużycia ubioru. Kobiety od mężczyzn odróżnić można z roztrzepanych warkoczy pierwszych i niemniej brudnej i kudłatej brody drugich. Dzieci do lat 13—14, zimą i latem, chodzą nago; tylko coś w rodzaju brudnego worka wisi im na plecach i osłania część ciała. Mieszkają chłopi w chlewach; śpią i jedzą tuż obok kupy błota i gnoju. Jedyna ich pościel to zwyczajna rogoża, co zresztą dla wielu stanowi komfort. Latem śpią gdziekolwiek, zimą zaś w śmierdzącym i pełnym dymu chlewie (ognisko rozpala się na środku chlewa, dokąd światło przenika przez otwór w środku sufitu, zręcznie splecionego z gałęzi i pokrytego błotem). Taki jest zresztą w najogólniejszych rysach obraz położenia włościanina w całej Turcyi.

Latem 1890 r. przyjeżdża do jednej z tych wsi poborca podatków. Ale chłopi jeszcze niedawno zapłacili cały podatek za rok wymieniony. Wiedząc, że urząd powiatowy często tę samą wieś powierza jednocześnie dwóm poborcom, chłopi stanowczo odmawiają powtórnego płacenia. Poborca nastaje, motywując to w ten sposób, że musi ściągnąć z kogoś pieniądze, które zapłacił za dzierżawę podatków. Ale chłopi nie ustępują: „bierz od kogo chcesz, my nie będziemy płacili po raz drugi“. Poborca wraca tedy do miasta, a nazajutrz do „buntującej się“ wsi wysyłają pułkownika z dziesięciu żandarmami. Nie zwracając żadnej uwagi na protesty i zażalenia, pułkownik po odpowiedniem ukaraniu „buntowników“, zabiera bydło i wyrusza w drogę. Jednemu z „zarażonych“ udaje się, po odjeździe pułkownika namówić chłopów do czynnego oporu. I oto cała wieś, uzbroiwszy się w pałki, kosy i łopaty, pędzi za łupiezcami. Widząc tłum, pułkownik daje koniowi ostrogę, każąc podwładnym popędzić bydło. Ale żandarmi, straciwszy z oczu zwierzchnika i widząc rozjątrzenie tłumu, idą... nie za rozkazem, lecz za przykładem wodza, porzucając zdobycz.

Mija tydzień. Powtórnie przyjeżdża pułkownik, tym razem z całym oddziałem. Znowu egzekucyja, tylko jeszcze nielitościwsza i na większą skalę. Zabrawszy znowu całe bydło, wyjeżdżają tym razem inną drogą. Chłopi, zbici, ze spuszczonemi głowami wracają do chat. Nagle rozchodzi się pogłoska, że trup jednego z włościan leży w chlewie w kałuży krwi. Dopiero teraz przypominają sobie jego nieobecność w czasie egzekucyi i wystrzał, który dał się słyszeć rano na skraju wsi, przy wjeździe oddziału. — Dalej bracia, za nimi — zwraca się siwy starzec do zgromadzonego tłumu. Ale już jest zapóźno, przytem oddział wyruszył inną drogą. Rozjątrzony tłum wraca do wsi, bierze trupa i hajże.... do miasta Samsunu. Zarząd okręgowy, widząc tłum, wysyła doń kupców z tychże wsi jako pośredników. Żandarmi już roznieśli po mieście sławę odwagi swego zwierzchnika. Zwróciwszy bydło, władza przez pośredników namawia chłopów,

by się rozeszli, obiecując odpowiednio ukarać pułkownika—winowajcę. Gubernator Trapezundu wzywa go również do siebie, aby zdał sprawę z całego zdarzenia.

Po jakich dziesięciu dniach zarząd gubernijalny daje chłopom odpowiedź, gdzie jest m wa „o nieprawności powtórnego ściągania podatków“. o tem, że „on sprawę zbada i winowajców ukaże“, dodając, że „nietylko zabity, lecz i jego dwaj bracia oraz 9 sąsiadów (tu następują nazwiska) dawno już ściągnęli na siebie uwagę władzy grabieżą i rozbojami i że na 2 dni przed owem zdarzeniem specyjalny komitet przy zarządzie gubernijalnym Trapezundu zaocznie wydał na nich wszystkich wyrok śmierci.“

Wszystkie wsie Draniku przez swoich delegatów, naznaczonych przez rząd wójtów, ormiańskich i greckich popów, tureckich mułłów, kurdzkich seidów protestują przeciwko temu oświadczeniu; ale rząd nie uważa nawet za stosowne odpowiedzieć na te protesty (później wyszło na jaw, że gubernator był przekupiony, za co w przeszłym roku został pozbawiony posady; zadziwiające jest tylko to, że pułkownikowi nic a nic nie zrobiono, nie badano go nawet. Dymisyja gubernatora za to jest zrozumiałą: minister spraw wewnętrznych potrzebował pretekstu, żeby mianować nowego gubernatora: nowy gubernator daje nowe dochody).

Z tych oto jedenastu osób, skazanych na śmierć za „kradzieże i rozboje“, wytworzyła się właśnie pierwsza drużyna górska. Bogu ducha winni chłopi, widząc, że drogą prawną niczego się nie dobiją, widząc, że oni są po za prawem, sprzedają wszystko, kupują broń i idą w góry, wystosowawszy na piśmie takie oświadczenie do zarządu gubernijalnego: „My wszyscy jesteśmy ludzie dojrzali. Ty wiesz doskonale, przez kogo i kiedy zabity był brat nasz i sąsiad Oganes Minas Ogłu. Cóż robić, pióro i atrament są twoje; dwa dni wcześniej lub tydzień później to dla ciebie wszystko jedno; zechciałeś, skreśliłeś i wyszło, że na Oganesa i na nas zaocznie był wydany wyrok śmierci. Byliśmy twoimi pokornymi poddanymi; nie było dnia, żebyś nas nie grabił i nie bił; myśmy wszystko znosili, spełniali każdy twój rozkaz, prawny i nieprawny. I teraz wypełniamy twoje ostatnie żądanie. Sprzedawszy wszystko, cośmy mieli, rozstaliśmy się z bydlęcem życiem chłopa i idziemy w góry bronić swoich praw z bronią w ręku. Przyjdź i zobaczysz“.

Ta to grupa Minas Ogłu już od dwu lat działa w górach Dawszandag. Wzrosła ona dziś na tyle, że musiała się podzielić na kilka gałęzi. Rewizorzy, umyślnie wysyłani z Konstantynopola dla zbadania miejsc obrony podczas dziesiątków potyczek tej drużyny z żandarmami, doszli do wniosku, że siłą wziąć ich niepodobna. To-też zarząd gubernijalny kilkakrotnie starał się z nimi pertraktować, co naturalnie spotkało się z pełną pogardy odmową. Raporty urzędowe głoszą z powodu tych drużyn co następuje: „i dawniej szajki rozbójnicze ograbiały wszystkich, kto im wpadł w ręce. Teraz pojawiły się bandy doskonale uzbrojone, które nie tylko nie szkodzą, ale, przeciwnie, niosą pomoc ludności włościańskiej. Bez wątpienia szajki te są niebezpieczniejsze; dzięki nim nawet tureccy chłopi wykazują skłonności przeciwrządowe.“ Tak brzmi prawie dosłowne tłomaczenie raportu gubernatora Sebastyjskiego do ministra spraw wewnętrznych. To samo stwierdza prasa Konstantynopolitańska mimo wszystkie przeszkody cenzuralne.

Takich drużyn jest dzisiaj około dziesięciu; wyrastają one, że się tak wyrazimy, jak grzyby po deszczu. W lipcu tego roku niedaleko od Erzindranu zorganizowała się nowa drużyna, złożona ze stu ludzi, po większej części mahometan, pod dowództwem 23-letniego młodzieńca Halusta ze wsi Wielki Armdan, gub. Sebastyjskiej. Od czasu tego drużyna zburzyła więzienie m. Diwryki, przyczem zabitych zostało kilku żandarmów i szpieg Seron, i miała krwawą potyczkę z ogromną siłą wojenną; w potyczce zabici zostali: dowódca wojska, czterech żandarmów, trzy konie, rannych było około dwudziestu. „Widząc śmierć swego dowódcy“, pisze Halust do organizacyi sąsiedniego m. Anna, „wojsko zaczęło uciekać w wielkiem nieporządku, zostawiając nam, prócz zabitych i rannych, 25 sztuk broni i 6 koni. Ranni błagali nas, byśmy ich nie dobijali; uspakajaliśmy ich, mówiąc, że nie mamy nic przeciwko osobom żołnierzy, że, przeciwnie, uważamy ich za swoich braci. Zdumieni, wytrzeszczyli na nas oczy i uspokoili się dopiero wtedy, gdyśmy poczęli opatrywać ich rany.“

Mając w swojem łonie wybitnych propagandystów, drużyny górskie sieją ziarna rewolucyi po całej przestrzeni M. Azyi. Główny i jedyny cel organizacyi tych drużyn, jak to już wyżej było powiedziane, to: antirządowa propaganda wśród mahometańskiej — i głównie tureckiej — ludności kraju. Solidarność uciemiężonych jest już przez te grupy osiągnięta, ponieważ uczestnicy ich werbują się zarówno między chrześcijanami — grekami i ormianami — jak i między mahometanami — turkami, kurdami, czerkiesami i łazami.

Podobne drużyny były organizowane i przez słowian bałkańskich przed ich wyzwoleniem się z pod jarzma tureckiego. Ale tam nie były one na tak szeroką zakreślone skalę i nosiły charakter rasowo-religijny: broniąc chrześcijan, obchodziły się one srogo z turkami. O solidarności turków i chrześcijan nawet mowy tam nie było. Tymczasem u nas solidarność ludów w walce ze wspólnym wrogiem odgrywa pierwszorzędną rolę. Podczas gdy na Bałkanach za wroga był uważany turek wogóle i bez wszelkiej różnicy, — u nas mahometanie w sojuszu z chrześcijanami paraliżują drapieżne instynkty przeżytego i zbankrutowanego rządu baszybuzuków. Cóż może być lepszą wróżbą jego rychłego upadku? Czuje to sam rząd, to też wszelkich sił dokłada, by powstrzymać ten nowy ruch; lecz — jak fakty wskazują — spotkało go pod tym względem fiasko zupełne, a przyszłość nie wróży dlań nic lepszego, gdyż ruch ten z każdym dniem staje się coraz szerszy, a przytem ostrzejszy.

P. S. Lata 1891 i 1892 zaznaczyły się u nas dwoma powstaniami: Ałaszkierdzkiem i Sasuńskiem. Oczekujemy z dnia na dzień krwawego wybuchu w Arabkirze i jego okolicy. Ale o tem innym razem.

X.

Paryż, 8 listopada 1892 r.

Kongres niemieckiej partyi socyjalistycznej

DNIA 14 listopada 1892 r. we wspaniałej sali berlińskiej Konkordii zaczął zasiadać parlament robotniczy — kongres niemieckiej demokracyi socyjalnej. Zewnętrzny wygląd kongresu był, jak to zresztą zwykle u niemieckiej partyi bywa, — imponujący: przeszło 200 delegatów, którzy już tego dnia przybyli, napełniło przednią połowę sali; z tyłu i na balkonie byli słuchacze; ściany ozdobione były biustami Marksa i Lasala, chorągwiami i napisami.

O wpół do ósmej wieczór kongres zagajony został przez ob. Singera przemową, w której on przypominał pierwszy zjazd socyjalistów niemieckich odbyty w Berlinie w r. 1867. Był to zjazd Ogólnego Niemieckiego Towarzystwa Robotniczego. Delegatów było 20, reprezentowali oni 3102 członków. Sprawozdanie kasowe

pokazało, iż dochodu było 520 talarów. Cóż za zmiana od tego czasu! Następnie mówca wezwał obecnych, by uczcili przez powstanie towarzyszy, którzy zginęli w Hamburgu od cholery, niosąc pomoc zagrożonej ludności.

Potem przystąpiono do wyborów; przewodniczącymi mianowani zostali Gottlieb i Singer; sekretarzy obrano dziewięciu ze względu na nawał pracy. Porządek obrad przyjęto ten sam, co i na poprzednich kongresach. Po wybraniu komisyi dla sprawdzenia mandatów i przyjęciu porządku dziennego posiedzenie zostało zamknięte.

Nazajutrz dopiero rozpoczęły się właściwe debaty. Kilku gości zagranicznych, między którymi znany socyjalista austryjacki Adler oraz holender Van Kol wyraziło swą sympatyję dla niemieckich socyjalistów; Adler kładł nacisk na zwiększającą się międzynarodową solidarność ruchu socyjalistycznego i, jako na jeden z ważniejszych czynników w tym kierunku, wskazał na święto 1-go maja.

Potem przystąpiono do pierwszego punktu porządku dziennego: sprawozdanie z czynności zarządu. Ob. Fischer otrzymał głos jako sprawozdawca.

Pierwsza rzecz, która uderza w ruchu socyjalistycznym niemieckim za ubiegły rok, rzekł ob. Fischer, to jest wielka liczba kongresów lokalnych, na których rozbierano różne sprawy miejscowe, tyczące się tylko danego państwa lub prowincyi. Kongresów takich było 20, oprócz wielu konferencyj. Pokazują one, iż działalność socyjalistów co raz bardziej skierowuje się na kwestyje dnia, co dowodzi o rozwoju siły i żywotności partyi.

Święto majowe, pomimo reakcyjnych praw niemieckich, niedozwalających swobodnego zbierania się pod odkrytem niebem, pochodów itd., — udało się bardzo dobrze; olbrzymie tłumy ludu, biorące w niem udział, dowiodły, jak znacznem jest zainteresowanie robotników kwestyjami politycznemi.

Ale jeszcze lepszy dowód tego dały liczne wybory, które w ubiegłym roku nastąpiły. Oto w Saksonii zdobyto przy wyborach do sejmu cztery nowe miejsca, a liczba głosów socyjalistycznych wzrosła z 15 tysięcy na 34 tysiące. Przy wyborach do berlińskiej rady miejskiej podano 15,791 głosów na miejsce 5,597 z roku 1884, a przy wyborach uzupełniających liczba ta jeszcze bardziej wzrosła, pomimo wrogiej agitacyi „niezależnych“; w czterech innych miejscach zdobyto po jednem miejscu również jedno miejsce w parlamencie, a w wielu innych okręgach liczba głosów się zwiększyła i jeżeli w 4 okręgach wiejskich upadła cokolwiek, to było to rezultatem pory roku niepomyślnej. Wreszcie świetnie udały się wybory do sądów przemysłowych. To wszystko wskazuje, że śmiało możemy patrzeć w przyszłość, niezwracając uwagi ani na zaciekłość przeciwników, ani na stratę garści „niezależnych“, co wcale na ogólnym rozwoju partyi się nie odbiło.

Dochody partyi wyniosły w roku ubiegłym 233 tysiące marek, rozchód 226 tysięcy. Główną pozycyję dochodu stanowi 160 tysięcy, pochodzących ze składek i innych dochodów partyjnych, oprócz tego 39 tysięcy dał „Vorwärts“, 11 tysięcy sprzedaż oznak majowych i t. d. Wśród rozchodów znajdujemy takie pozycyje: zapomogi 12,752, koszta podróży 8788 (notabene podczas „nowego kursu“ spadało na partyję 117 lat więzienia za rok podczas gdy za istnienia praw wyjątkowych liczba ta rzadko przewyższała 100), koszta reprezentacyi w parlamencie 13,454, zapomogi gazetom 65,931 (z tego 6063 na polską Gazetę Robotniczą) i t. d.

Prasa partyjna też imponująco się przedstawia, mianowicie istnieje gazet codziennych 32 (w 91 r. — 27, w 90 r. — 19) a wogóle pism 70, oprócz 57 pism fachowych.

Oczywista rzecz, iż cyfry zawarte w mowie Fischera a dowodzące o ciągłym a zarazem tak znacznym wzroście sił partyi, wywołały ogólny eutuzyjazm. Zaraz też potem otrzymano sprawozdanie Kadena, jednego z kontrolerów, który oświadczył, iż po przepatrzeniu drobiazgowem wszystkich wydatków oraz dochodów komisyja kontroli znalazła w rachunkach najzupełniejszy porządek. Mówca wniósł udzielenie zarządowi absolutoryjum, co też nastąpiło.

Potem Bebel dodał do sprawozdania niektóre szczegóły, tyczące się organu centralnego „Vorwärts,“ które są dla nas bardzo ciekawe. Otóż przedewszystkiem Bebel zaznaczył, iż wieści, jakoby V. był organem prywatnym, są zupełnie fałszywe. Zdarzało się co prawda, iż osoby prywatne dawały znaczne pieniądze na gazetę, np. Singer dał w swoim czasie 16 tysięcy marek, ale pomimo tego V. jest i będzie własnością partyi. Co się tyczy kosztów gazety, to członkowie redakcyi otrzymują od 2,400 do 7,200 marek rocznie. Ta ostatnia suma wydaje się zapewne wielką, ale też trzeba pamiętać, iż V., wydawany w stolicy, musi rywalizować z organami burżuazyjnymi, redaktorzy których dostają od 15 do 24 tysięcy marek. Drugi redaktor otrzymuje 5,000 marek, stałych współpracowników zagranicznych jest sześciu, z płacą miesięczną 25 do 150 marek. Pod zdolną redakcyją Liebknechta gazeta doszła do tego, iż pomimo znacznych wydatków przynosi jeszcze rocznie 39,497 marek czystego zysku.

Księgarnia Vorwärtsu znajduje się też w stanie znacznego rozwoju. Obrót jej za rok ostatni wynosił 120,000 m., co jest bardzo dużo, szczególniej jeżeli zważymy, iż większą część nakładów stanowią broszurki kosztujące mniej od 50 fenigów.

Z wielu stron wyrażono życzenie, by wydawnictwa socyjalistyczne były drukowane wyłącznie w drukarniach partyjnych. Bebel wypowiedział się przeciwko temu, gdyż to byłoby możebne tylko przy powiększeniu największej drukarni partyjnej, mianowicie hamburskiej, a unieruchomienie tak znacznego kapitału nie byłoby odpowiedniem w czasach, w których żyjemy. Dziś jest chwilowy spokój, ale może doskonale przyjść katastrofa, która pozbawi partyję wszystkiego nieruchomego majątku. Trzymanie się zasady, by zawsze dawać robotę członkom partyi także nie da się zalecić gdyż kryje w sobie inne niebezpieczeństwo (bardzo słusznie!).

Z pomiędzy mówców, którzy przemawiali w tej kwestyi, niektórzy uskarżali się na brak pomocy w pieniądzach oraz w agitatorach ze strony zarządu. Odpowiedział na to im Auer. Przedewszystkiem skonskonstatował, iż skargi takie powtarzają się na każdym kongresie, ale przy najlepszej woli zarządu nic by na to nie dało się poradzić. Gdyby uczyniono zadość wszystkim prośbom o pomoc pieniężną, musiano by wydać pół milijona marek w ciągu ostatniego roku. Partyja i tak wydała 66 tysięcy marek na podtrzymanie prasy prowincyjonalnej, co jest ładną sumką. Co zaś do drugiego żądania, to dałoby się ono streścić w okrzyku: jeszcze trochę Bebla! — Otóż zarówno Bebel, jak inni bardziej znani agitatorowie nie żyją na dzień więcej, jak 24 godziny, to też tylko pewną określoną sumę pracy dać mogą. Na tem dyskusyję zakończono.

Tegoż dnia złożyła raport komisyja sprawdzająca mandaty. Okazało się, iż na kongres przybyło 232 delegatów; trzy mandaty zakwestyjowano, jeden uznano za nieważny. Do tej liczby należy dodać członków parlamentu (36) i zarząd. Niektórzy delegaci mieli po kilku mandatów.

Dnia następnego pod debaty przyszedł punkt trzeci porządku dziennego: działalność parlamentarna frakcyi socyjalistycznej w izbie niemieckiej. Singer, będący referentem, nie rozwodził się długo nad rzeczą, która każdemu dokładnie była znaną. Zwrócił tylko uwagę na walkę, jaką socyjaliści

muszą prowadzić przeciwko projektowi rządowemu powiększenia armii i, co za tem idzie, podatków. „Postępowcy — rzekł mówca — głoszą, że dzisiejszemu rządowi nie dadzą ani jednego rekruta i ani jednego grosza, otóż naszem hasłem niech będzie: dzisiejszemu systemowi ani człowieka, ani grosza!“ Zatem mówca wniósł rezolucyję, która zarówna jak i przemówienie, pokryta została oklaskami. Najważniejszy jej ustęp brzmi:

„Panujący dzisiaj system militarny, nie będąc w stanie zabezpieczyć Niemcy od napaści nieprzyjacielskich stanowi jednak nieustanną groźbę dla spokoju ludów i służy kapitalistycznym rządom klasowym za najważniej ze narzędzie eksploatacyi ekonomicznej i ucisku politycznego klasy robotniczej.“

Zasadniczych zarzutów działalności frakcyi nie podnoszono, ale było kilka głosów, które zasługują na uwagę. Oto ob. Mittag krytykował projekt frakcyi stopniowego wprowadzenia dnia 8 godzinnego. Ob. Bueb z Alzacyi skarżył się, czemu frakcyja nie zażądała od parlamentu zniesienia praw wyjątkowych. istniejących w Alzacyi i Lotaryngii, co było przecie uchwalono w Erfurcie. Gdy prowincyje te zostały przyłączone do Niemiec, burżuazyjna prasa niemiecka użalała się hipokrytycznie na złą gospodarkę francuzów, tymczasem dotąd nie zniesiono ani jednego rozporządzenia, ani jednej swobody nie dano ludowi! Stosunki prasowe np. są regulowane 8 edyktami, z których najstarszy datuje z 1735 r. i które trzymają pisma w żelaznych karbach. Rozporządzenia te pochodzą z czasów reakcyjnych rządów królestwa i cesarstwa*). Mówca protestuje przeciwko takim stosunkom i mówi, że on oraz inni socyjaliści w Alzacyi i Lotaryngii nie są szowinistami i jeżeli protestują przeciwko przyłączeniu tego kraju do Niemiec, to tylko dla tego, gdyż chcą, by każdemu ludowi pozostawione było prawo rozporządzania swoim własnym losem. Nie chcą oni być klinem, wbitym między Francyję i Niemcy, ale łącznikiem dla tych dwóch krajów. (Długo trwające oklaski).

Inny mówca zaproponował wydawanie po każdej sesyi parlamentarnej sprawozdania z czynności posłów socyjalistycznych.

W odpowiedzi na to Bebel oświadczył, iż frakcyja szczerze myśli zająć się kwestyją praw, ciążących na ludności Alzacyi i Lotaryngii, ale brakło jej dotychczas znajomości rzeczy. Do ostatniego wniosku Bebel się przychylił, poczem tenże został przyjęty. Inne wnioski zostały odesłane do frakcyi.

Czwartym punktem porządku dziennego były wnioski, tyczące sie organizacyi. Tu najpierw zjazd. na wniosek obywatelki Baader, — przedstawicielki berlińskiego zebrania robotnic, uchwalił zmienić wyrażenie „mąż zaufania“, znajdujące się w programie, na „osoba zaufania“. Inny wniosek, tyczący się odbywania zjazdów co dwa lata. a nie jak dotąd, co roku, został odrzucony gdyż w interesie ruchu leży jaknajczęstsze naradzanie się nad interesami partyjnymi. Zjazd jest swego rodzaju klapą bezpieczeństwa, jak zauważył Bebel; na nim rozstrzygają się wszelkie spory, nie załatwienie których sprowadzałoby stan chorobliwy w łonie partyi,

Punktem piątym było swięto majowe 1893 roku. Referent, ob. Gerisch streścił swą mowę w następującej rezolucyi:

„W związku z uchwałą, powziętą na kongresie brukselskim uchwala zjazd niemieckiej demokracyi socyjalnej co następuje:

„Święto obchodzone będzie 1-go maja. Dnia tego demonstrować będą klasowo uświadomieni robotnicy wraz z robotnikami całego świata za 8 godzinnym dniem roboczym i za prawodawstwem pracy w duchu znanej rezolucyi paryskiej.

„By obchód uczynić bardziej jednolitym i przez to bardziej imponującym zjazd uchwala, iż zarówno w tym roku, jak i w przyszłości, kierownictwo święta leżyć będzie w rękach organizacyi politycznej, czyli partyi.

„Zjazd uważa porzucenie pracy za najwłaściwszą formę święcenia 1-go maja. Ponieważ jednak ani międzynarodowy kongres paryski, ani brukselski nie nałożyły bezwzględnego obowiązku porzucenia pracy, ale, przeciwnie, pozwoliły każdemu narodowi postępować stosownie do okoliczności; ponieważ dalej sposób świętowania przedewszystkiem zależnym jest od każdorazowego stanu interesów, przeto zjazd uchwala nie stanowić jednej normy na wszystkie czasy, ale pozostawić określanie sposobu świętowania każdorocznemu zjazdowi.

„Ze względu zaś na panujący obecnie zastój w interesach, wykluczający wszelką możliwość polepszenia się takowych do wiosny, zjazd uważa, że ogólne porzucenie pracy 1-go maja 1893 r. nie jest wykonalnem uchwala obchodzić święto wieczorem 1-go maja“.

Do tej rezolucyi mówca dodał tylko, iż przeniesienie święta na pierwszę niedzielę po 1 maja należy wykluczyć zupełnie, gdyż tą kwestyję zjazd międzynarodowy brukselski ostatecznie rozstrzygnął.

Na tem posiedzenie przerwano. Następnego dnia (17 listopada) cały szereg mówców zapisał się, by mówić za lub przeciw rezolucyi Gerischa.

Rozpoczął mowy ob. Theiss z Hamburga, który powiedział, że każdy, aczkolwiek z ciężkiem sercem, będzie głosował za propozycyją Gerischa, a to ze względu na kryzys ekonomiczny. Jednak dobrze byłoby, gdyby można było choć w niedzielę urządzić demonstracyję z pochodem przez miasto etc., gdyż tego rodzaju demonstracyje wywierają doskonały wpływ na robotników. Inny mówca natomiast, Dreyer, był tego zdania, że nawet zebrania wieczorne tylko tam odbywać się powinny, gdzie to jest możebne.

Wtenczas zabrał głos ob. Adler, który w długiej i, jak zwykle, świetnej przemowie wypowiedział się przeciwko wnioskowi Gerischa. Podajemy ją w streszczeniu:

„Niemam wcale zamiaru mieszania się do spraw wewnętrznych partyi niemieckiej, ale święto 1-go maja jest kwestyją międzynarodową, dlatego zmuszony jestem wypowiedzieć swe zdanie w tej kwestyi. Otóż przedewszystkiem w rezolucyi Gerischa jest pewien błąd; mianowicie kongres brukselski nie pozostawił zupełnie kwestyi święcenia lub nieświęcenia 1-go maja woli oddzielnych organizacyj. Przeciwnie. wypowiedział on się wyraźnie za złożeniem roboty w tym dniu, dodając tylko, że należy się od tego powstrzymać tam, gdzie to będzie niemożebne. To jest zupełnie co innego. Dalej możnaby powiedzieć że w Austryi święcenie jest na miejscu, gdyż niema tam swobody zebrań i stowarzyszeń, ani powszechnego głosowania, zatem trzeba szukać innych sposobów agitowania mas, gdy w Niemczech wystarczają sposoby, praktykowane dotąd. Otóż pogląd taki zupełnie jest mylny. Gdybyśmy w Austryi mieli wszystkie, powyżej wymienione swobody, to jednak święcilibyśmy 1 maja, gdyż przekonaliśmy się jak potężnie ten obchód działa. Masy robotnicze zostały świętem majowem przeorane, jak świeży grunt i zasiew nasz odtąd podwójny plon wydaje. Że i u was potrzeba manifestacyi majowej daje się uczuć, dowodem tego jest propozycyja ob. Theissa, który chciałby mieć demonstracyję chociażby w niedzielę. Powiadacie, że obchód nie jest możliwy z powodu represalij, które

*) Odtąd w republice francuskiej przyjęte zostało nowe prawo, dające prasie wolność prawie nieograniczoną, a największą w Europie, z wyjątkiem Szwajcaryi.

on na robotników ściągnie. Z tego by wypadało, żeśmy postąpili lekkomyślnie, uchwalając w Austryi złożenie roboty. A jednak my postąpiliśmy z zupełną świadomością niebezpieczeństwa, które nas czeka. Wiemy, że będziemy mieli bój i przygotowujemy się do niego, ale naprzód składać broń nie chcemy! Wreszcie zwrócę jeszcze uwagę na jedną okoliczność, choć tem wystawiam się na niebezpieczeństwo, iż będziecie mnie może uważali za zbyt radykalnego. Oto jeden z mówców wyraził się, że nawet wieczorny obchód powinien być odbyty tylko tam, gdzie to możebne. Widzicie dokąd was to cofanie się zaprowadza. My, socyjaliści austryjaccy, chcemy iść z wami zawsze rękа w rękę, ale czynimy to dopóty, dopóki naprzód postępujecie i muszę dodać, iż tylko dopóty będziecie nas mieli u swego boku, dopóki będziecie szli naprzód!"

Mowa Adlera przyjęta została oklaskami, ale odnosiły się one widocznie bardziej do osoby mówcy, jak do treści jego przemówienia. Wszyscy bowiem późniejsi mówcy wypowiadali się za nieporzuceniem robót 1-go maja. Vollmar wskazał na nowe prawo, tyczące się ochrony robotników, dające przedsiębiorcom możność pociągania do odpowiedzialności sądowej robotników, którzy porzucili pracę bez poprzedniego wymówienia. Bebel zwrócił uwagę, iż przedsiębiorcy niemieccy daleko bardziej są bezwzględni i nieludzcy w stosunkach z robotnikami, jak przedsiębiorcy innych krajów. Potem mówił jeszcze raz Adler, który przypominał, iż nie należy lekceważyć w polityce inponderabiliów (dosłownie — rzeczy, których nie można zważyć). Ta myśl, iż o jednej porze i we wszystkich krajach robotnicy porzucają pracę i powstrzymują produkcyję, ma niezmierne znaczenie moralne

Potem przystąpiono do głosowania, w którem 5 głosów wypowiedziało się za złożeniem pracy 1-go maja, 236 zaś przeciwko. Potem podano pod głosowanie kwestyję, czy należy demonstrować 1-go maja, czy w niedzielę po 1-ym maja? 167 głosów było za, 73 — przeciw. Zatem wniosek Gerischa został przyjęty, co też stwierdzono osobnem głosowaniem. Wszystkie dalsze wnioski z tego powody upadły. Na tem posiedzenie to, jedno z najważniejszych ze względu na postanowienia, na niem zapadłe, — zamknięto.

Następnego dnia rozpoczęła się dyskusyja, na myśl o której dawno już oblizywały się gazety burżuazyjne. Gdy bowiem nie udało się wmówić światu, że partyja niemiecka rozpada się na dwie części, radykalną i umiarkowaną, wtenczas w wielu gazetach pojawiła się kaczka o rzekomej secesyi jednego z wybitniejszych przedstawicieli socyjalizmu niemieckiego, ob. Vollmara. Miał on nosić się z myślą oderwania od partyi znacznego odłamu i to podnosząc sztandar socyjalizmu państwowego. Ale wszystkie te wymysły okazały się wkrótce błędnymi. Pomimo ekskomunikacyi, rzuconej na Vollmara przez zgromadzenie szewców berlińskich (podbechtanych przez późniejszych „niezawisłych"), zarząd partyi oraz jej znaczna większość jakoś nie śpieszyły się bynajmniej z potępieniem Vollmara, a zjazd erfurcki wykazał, że między nim i resztą partyi żadnych dalej idących różnic niema. Pomimo tego plotki podobne wyżej wymienionej powstawały jeszcze to tu, to ówdzie. Z tego powodu postawiono jako punkt 6-ty porządku dziennego: socyjalizm państwowy i rewolucyjna socyjalna demokracyja. Za referentów wybrani zostali umyślnie Liebknecht i Vollmar razem. Obydwa też oni podpisali rezolucyję, która przedstawiona została zebraniu i która brzmi jak następuje:

„Socyjalna demokracyja nic nie ma wspólnego z tak zwanym socyjalizmem państwowym.

„O ile sobie tak zwany socyjalizm państwowy za zadanie stawia upaństwowianie dla celów fiskalnych, chce on postawić państwo na miejscu kapitalisty prywatnego i tem dać państwu władzę nałożenia ludowi podwójnego jarzma wyzysku ekonomicznego oraz politycznego niewolnictwa.

„O ile zaś tak zwany socyjalizm państwowy zajmuje się reformami społecznemi oraz polepszeniem bytu klas pracujących, składa się on z środków połowicznych, które powstanie swe zawdzięczają strachowi przed demokracyją socyjalną. Ma on za zadanie, za pomocą małych ustępstw i różnych palijatywów odwrócenie klasy robotniczej od demokracyi socyjalnej i osłabienie tej ostatnej.

„Demokracyja socyjalna nie pogardzała nigdy takimi środkami państwowymi, które mogą sprowadzić polepszenie bytu klasy robotniczej w łonie dzisiejszego ustroju społecznego. Nie czuje się ona jednak bynajmniej podobnymi środkami zadowoloną i nie da się niemi sprowadzić z drogi do socyjalistycznego przeobrażenia państwa i społeczeństwa.

„Demokracyja socyjalna jest w swej istocie rewolucyjną, gdy socyjalizm państwowy jest konserwatywny. Demokracyja socyjalna i socyjalizm państwowy są to nie dające się pogodzić sprzeczności".

W. Liebknecht. Vollmar.

Po przeczytaniu rezolucyi rozpoczęła się długa dyskusyja, w której głównie brali udział Liebknecht, Bebel i Vollmar. Wszyscy mówcy godzili się na to, że socyjalizm państwowy wśród partyi niemieckiej wcale nie istnieje, że podnoszenie jego byłoby zupełnie antisocyjalistycznem, a nawet zwalczanie jego jest zbytecznem, gdyż jest to wyłamywanie drzwi otwartych. Liebknecht przypominał, że dawniej socyjalizm państwowy miał uznanie wśród pewnej ilości socyjalistów niemieckich, mianowicie wśród lasalowców, którzy nawet raz jego (Liebknechta) wyrzucili z zebrania za to, że ośmielił się ostrzedz ich przed despotyzmem, który mógłby być wynikiem oddania państwu dzisiejszemu zbyt obszernych atrybucyj. Im bliższym i bardziej widocznym się będzie wydawał kapitalizmowi jego własny upadek, tem silniej występować będzie dążenie do socyjalizmu państwowego i prawdopodobnie w walce ostatecznej partyje wrogie walczyć będą ze sobą pod hasłami demokracyi socyjalnej oraz socyjalizmu państwowego.

Vollmar przypomniał, że sąd jego o socyjalizmie państwowym był natury czysto teoretycznej. Nie mówił on o socyjalizmie państwowym, jakim on jest, ale jakim on mógł by być. Ale w kwestyi taktyki stoi on zupełnie na gruncie rezolucyi, którą podpisał.

Rezolucyja w tej kwestyi przyjętą została jednogłośnie.

Następnym punktem był kongres międzynarodowy w Zurychu. Sprawozdawca, Ewald, postawił wniosek, żeby partyja niemiecka w kongresie tym udział wzięła, a to w ten sposób, że kongres berliński wyszle trzech przedstawicieli, a oprócz tego, jak dawniej, będą wybierani delegaci na zebraniach publicznych przez oddzielne okręgi. Co się zaś tyczy zamierzonego przez angielskie trade uniony kongresu robotniczego, to mówca był przeciwny udawaniu się na takowy, gdyż kwestyje robotnicze nieodłączne są od politycznych. Mówca wniósł dalej, by na porządku dziennym kongresu zurychskiego socyjaliści niemieccy postawili dwie kwestyje: a). Znaczenie polityczne walki klasy robotniczej o władzę polityczną i b) stosunek robotników do wojny.

Niektórzy mówcy przeciwni byli posyłaniu licznych delegatów do Zurychu, ale Bebel oparł się temu energicznie, podnosząc znaczenie postępującego wciąż zbliżaniu się organizacyj socyjalistycznych. Co zaś do wniosków Ewalda, to poparł on je również, a to ze względu na potrzebę wypowiedzenia się otwartego w kwestyjach, co do których z niektórych stron, mia-

nowicie z Holandy, robione są zarzuty niemieckiej partyi. Potem wniosek Ewalda przyjęto.

Punkt ósmy brzmiał: stowarzyszenia robotnicze, bojkot i marka ochronna. Wszystkie te trzy kwestyje zostały bardzo gruntownie rozpatrzone przez ob. Auera. Najprzód powiedział on, że jedna cecha wspólną jest tym trzem kwestyjom, a to, że nie mają one nic specyficznie socyjalistycznego. Stowarzyszenia robotnicze (wytwórcze, gdyż tylko o takich tu mowa) jeszcze dotychczas często są przeceniane, tymczasem w rzeczywistości służyć one mogą chyba tylko dlatego, by dać utrzymanie towarzyszom, których fabrykanci na czarnej liście umieścili. Często jednak stowarzyszenia takie pochłaniają niepotrzebnie najlepsze siły agitacyjne a już co do tego zapatrywania, że stanowią one szkołę, w której socyjaliści nauczą się kierować produkcyją, to jest ono nonsensem, gdyż zaiste szkoła ta byłaby bardzo mizerną*). Kierowników przyszłej produkcyi wychowa sam kapitalizm. To też w rezolucyi swej Auer proponuje, wyjąwszy wyżej wymieniony wypadek, przeciwdziałanie zakładaniu stowarzyszeń oraz poglądowi, że mogą one polepszyć położenie klasowe robotników.

Co do bojkotu, to może on być użytym tylko przy współudziale wielkich, dziś jeszcze po większej części nie zorganizowanych mas robotniczych. Ale w żadnym razie nie powinien on być używanym w celu karania politycznego kierunku lub osobistych przekonań ludzi, gdyż to jest właśnie, co zarzucamy naszym wrogom. Więc np. bojkotowanie restauratora nie dlatego, że nie chce dać swej sali na zebrania, ale dlatego, że nie jest socyjalistą, byłoby zupełnie karygodnem.

Wreszcie marka ochronna ma pokazywać kupującemu, że przy produkcyi towaru uczyniono zadość żądaniom danej organizacyi w kwestyjach płacy, dnia roboczego i t. d. Ale jest to rzeczą zupełnie obojętną, czy towar wyprodukowany jest przez stowarzyszenia robotnicze, czy przez kapitalistę. Zatem tylko jako środek w walce z kapitałem marka może być użytą, a nigdy w celu zastąpienia tej walki lub dla wzmocnienia słabych organizacyj, co może być czasowo dopiętem, ale prowadzi do faryzeuszostwa wśród robotników. Tu mówca zwrócił uwagę na głosy odzywające się gdzieniegdzie wśród robotników, że marka ochronna może zupełnie zastąpić strejki. Oczywiście, że zdania takie burżuazyję w zachwyt wprawiają, ale socyjaliści muszą przeciwko temu wystąpić. Inni mówcy wypowiadali się po części w tym samym duchu, po części żądali bardziej ostrego wystąpienia przeciw stowarzyszeniom lub innego sformułowania pozostałych rezolucyj. Jednak wnioski Auera zostały znaczną większością przyjęte.

Przed przejściem do wolnych wniosków pozostawały jeszcze dwa punkty porządku dziennego, mianowicie: 9) kryzys ekonomiczny i jego rezultat — nędza powszechna (referent Liebknecht) oraz 10) antysemityzm i demokracyja socyjalna (ref. Bebel); ze względu jednak na czas spóźniony Bebel postawił wniosek, by wykreślić je z porządku dziennego i ograniczyć się na rozdaniu projektów rezolucyj wśród obecnych, by mogli zaznajomić się z poglądami referentów. Propozycyję tę przyjęto i przystąpiono do wniosków, podawanych przez zgromadzonych. Działo się to na posiedzeniu piątem.

Debaty, które wówczas nastąpiły nie mają dla nas tak wielkiego znaczenia, podamy zatem tylko ważniejsze rzeczy. W ęc skarżono się na Vorwärts, że nie daje dość wiadomości o prowincyi, na co Liebknecht zupełnie słusznie odpowiedział, że wina leży na samych oskarżycielach, oni to bowiem swem nieprzysyłaniem wiadomości zmuszają redakcyję do posiłkowania się gazetkami prowincyjonalnemi. Dalej dyskutowano nad tem, czy by nie warto było założyć oprócz Vorwärtsu, jeszcze jeden organ centralny, tygodniowy, dla tych towarzyszy, którzy nie mają czasu ani pieniędzy na czytanie organu codziennego, a radziby jednak otrzymywać wiadomości z pierwszej ręki. Wniosek ten, pomimo poparcia ze strony Bebla, upadł. Ci, którzy oponowali, między nimi Vollmar, motywowali swoje zdanie tem, że niema sił dostatecznych dla dobrego prowadzenia jeszcze jednego organu. Za to wniosek delegata z Metzu, by wydać broszurę Brackego „Precz z socyjalistami!“ w języku francuskim został oddany zarządowi do rozpatrzenia, a uchwalono w każdym razie wydać tę broszurę jeszcze raz w języku niemieckim. Trochę czasu zajął zarzut ob. Wartmana, który atakował Vorwärts za jego sprawozdanie z rozruchów lutowych w Berlinie. Liebknecht odpowiedział, że wyrażenie „lumpenproletariat“, przezeń użyte, stosuje się zupełnie do większości tych, którzy brali udział w rozruchach. Wśród lumpenproletaryjatu mogą być też elementy rewolucyjne, ale w większej części wypadków jest on reakcyjnym i łatwo sprzedaje się burżuazyi, jak się o tem francuscy robotnicy przekonali podczas dni czerwcowych w 1848 r. Po mowie Liebknechta Wartman cofnął swój wniosek (tyczący się udzielenia nagany redakcyi).

Towarzyszki z Mannheimu wniosły rezolucyją, by pracowano nad rozwinięciem organizacyi fachowej oraz politycznej robotnic, nad zdobyciem dla nich bardziej wolnomyślnych ustaw o stowarzyszaniu i zbieraniu się, jak dotychczas, oraz nad zniesieniem braku praw politycznych dla kobiet. Obywatelka Klara Zetkin, znana ze swej energicznej działalności wśród robotnic niemieckich, motywowała ten wniosek który też został przyjęty.

Wreszcie nie obeszło się bez powtarzającej się na każdym kongresie (i to nietylko na niemieckich) dyskusyi w kwestyi religii. Ob. Hoffman wniósł mianowicie, by na miejsce znanego ustępu programowego: „religija jest kwestyją prywatną“ — postawić: „religija oraz jej nauczyciele wszędzie tam powinny być zwalczane, gdzie te czynniki sprzeciwiają się postępowi nauki, albo przeszkadzają ludzkości wyzwolić się z pod ucisku ekonomicznego oraz politycznego“. Na to zauważył Vollmar, że niema żadnego powodu zmieniania programu w tej kwestyi, poczem wniosek Hoffmana upadł.

Przyszedł ostatni dzień kongresu. Pewna ilość delegatów zmuszoną była już w przeddzień odjechać. Zresztą wszystkie ważniejsze kwestyje były załatwione. Pozostał wybór zarządu, co do którego nie mogło być żadnych sporów wśród ludzi, którzy tak cenią dyscyplinę partyjną, jak niemcy. To też wybrani zostali: Bebel oraz Singer na przewodniczących, każdy 217 głosami (7 gł. rozstrzelonych). Auer (217 gł.) i Fischer (182 gł.) zostali sekretarzami (Stadthagen otrzymał 23 gł., 20 było rozstrzelonych), wreszcie Gerisch — kasyjerem (205 gł., 7 rozstrzelonych). Wybrano też 7 kontrolerów. Wniosek, by redaktor Vorwärtsu wybierany był przez kongres, a nie, jak dotąd, przez zarząd, został odrzucony.

Potem kongres załatwił kilka sporów osobistych, ku ogólnemu zadowoleniu. Uniknięto w ten sposób gorszącego przykładu sporów między towarzyszami, a że każda strona przyjęła wyrok kongresu, więc sprawy zostały ostatecznie pogrzebane.

Wreszcie uchwalono, bez dyskusyi, rezolucyje, proponowane przez referentów w kwestyi kryzysu i antysemityzmu. Podajemy tu tę ostatnią:

---

*) W Anglii, gdzie stowarzyszenia wytwórcze największego dosięgnęły rozwoju, suma ich produkcyi stanowi jednak tylko $^1/_{400}$ ogółu produkcyi.

„Antysemityzm jest rezultatem niezadowolenia pewnych sfer burżuazyjnych, które cierpią wskutek rozwoju kapitalizmu i po większej części skazane są na ruinę ekonomiczną, ale, nie rozumiejąc właściwej przyczyny swego położenia, walczą nie z systemem kapitalistycznym, ale z jednym z pomiędzy jego przejawów, z wyzyskiem żydowskim.

„To pochodzenie antysemityzmu zmusza go do stawiania żądań, będących w sprzeczności zarówno z rozwojem ekonomicznym jak i politycznym społeczeństwa burżuazyjnego, żądań sprzecznych z postępem, zatem reakcyjnych. Ztąd pochodzi poparcie, które antysemityzm znajduje u szlachty i księży.

„Walka jednostronna antysemityzmu z wyzyskiem żydowskim jest musowo bezowocną, gdyż wyzyskiwanie człowieka przez człowieka nie jest specyficznie żydowską formą zarobkowania, ale jest wspólne całemu społeczeństwu burżuazyjnemu i zniknie tylko z upadkiem tegoż społeczeństwa.

„Ponieważ zaś demokracyja socyjalna jest wrogiem najbardziej zaciętym kapitalizmu bez względu na to, czy żydzi, czy chrześcijanie są jego przedstawicielami, ponieważ dalej ma ona na celu usunięcie społeczeństwa burżuazyjnego przez zastąpienie go społecznością socyjalistyczną, co zakończy wszelkie panowanie człowieka nad człowiekiem i wszelki wyzysk — z tego powodu demokracyja socyjalna odrzuca zastąpienie walki z istniejącą formą państwową i społeczną przez walkę z jednym jej objawem, który tylko przy społeczeństwie burżuazyjnem istnieje i wraz z niem pada.

„Demokracyja socyjalna zwalcza antysemityzm, jako ruch skierowany przeciwko naturalnemu rozwojowi społeczeństwa, który jednak, pomimo swego reakcyjnego charakteru i wbrew swej woli działa rewolucyjnie, gdyż warstwy drobnomieszczańskie i chłopskie, pobudzone przez antysemityzm przeciwko kapitalistom żydowskim muszą przyjść do przekonania, że nietylko kapitalista żyd, ale cała klasa kapitalistów jest ich wrogiem i że tylko zwycięztwo socyjalizmu może ich wybawić z ich nędznego stanu.“

Na tem kongres się zakończył. Ostatnie słowo otrzymał Singer, który w krótkiem, ale gorącem przemówieniu skonstatował pełne godności i spokoju prowadzenie dyskusyi przez zgromadzonych, podziękował berlińczykom za doskonałą organizacyję strony technicznej kongresu i wyraził nadzieję, że się wszyscy za rok przy jeszcze lepszych warunkach zobaczą. Zakończył wezwaniem do okrzyku: Niech żyje niemiecka, niech żyje międzynarodowa, wszystko wyzwalająca socyjalna demokracyja! — co zgromadzeni trzy razy z entuzyjazmem powtórzyli. Śpiewając marsylijankę delegaci zwolna rozchodzili się; każdy zachował w sercu uroczysty nastrój, który towarzyszył całemu zjazdowi.

PANAMA

GDY Saint-Simoniści, mierząc pogardliwym wzrokiem drobne spekulacyjki i szacherki czasów restauracyi, wskazywali na potężne przedsiębiorstwa w rodzaju przekopania kanału sueskiego, jako jedyne odpowiednie temu idealnemu społeczeństwu, do którego dążyli, — wtenczas klientela ich składała się przeważnie z bogatych bankierów i kapitalistów, którzy widzieli w nich zwiastunów nowej ery, nowego porządku rzeczy. Ale byli tam i niekapitaliści, ideolodzy, ludzie którzy wierzyli w zbawienne działanie rozwoju przemysłu i handlu.

Teraz chyba takich waryjatów niema; nikt nie przypuszcza, by sama siła konkurencyi i naturalny bieg rzeczy zaprowadziły ludzkość po kanałach i kolejach wielkich kompanij do raju. Ale jeżeli jeszcze kto zachował podobną ułudę, temu Panama powinna była zedrzeć z oczu zasłonę.

Rzeczywiście, fakty, które wykryto przy procesie zarządu towarzystwa akcyjnego, mającego przekopać kanał panamski, w brutalny sposób skacza do oczu najbardziej ograniczonemu człowiekowi. Z pomiędzy jednego milijarda czterystu milijonów franków, które potrafiono wyciągnąć za akcyje z kieszeni łatwowiernych ofiar tylko 558 milijonów poszło na roboty około kanału. Cóż się stało z resztą? Utonęły one w kieszeniach deputowanych, którzy głosowali nad prawem, upoważniającem towarzystwo do wypuszczenia obligacyj z losami, ministrów, którzy tego projektu bronili, dziennikarzy, którzy się pochlebnie o nim odzywali, bankierów, którzy organizowali sprzedaż obligacyj, wreszcie, nie w najmniejszym stopniu, w kieszeni „wielkiego francuza“ — Lessepsa, znakomitego Eiffla i innych administratorów oraz wykonawców robót. Wyliczenie tutaj choćby tylko cząstki faktów najbardziej charakterystycznych byłoby niemożliwem, ale niektóre z pomiędzy nich tak są ciekawe, że nie możemy ich pominąć milczeniem.

Oto np. jeden ze świadków opowiada historyję wzrostu pism finansowych: „Niedawne są czasy, mówi on, gdy w Paryżu istniała jedna tylko gazetka, zajmująca się specyjalnie finansami; właściciel jej bardzo skromne miał wymagania: gdy wypuszczano w świat akcyje jakiegoś przedsiębiorstwa, szedł do zarządu i żądał kilku tysięcy franków; nie groził, w razie odmowy, rzucaniem oszczerstw lub podejrzeń, ale tylko milczeniem. Zgadzano się chętnie na jego żądania. Teraz liczba tych gazet wzrosła znakomicie, a oprócz tego każdy większy dziennik polityczny ma swój oddział finansowy; oczywiście, że i żądania wzrosły; z początku ograniczano się na grubych, ale jednorazowych darach; teraz trzeba każdą gazetę specyjalnie utrzymywać, t. j. płacić jej co miesiąc sumy, dochodzące do 100 i więcej tysięcy franków.“ Ale jeszcze więcej biorą bankierzy za to, że pozwalają w swych biurach kupować akcyje danego przedsiębiorstwa i, przez to, poniekąd patronują je przed publicznością. Jeżeli zaś przejdziemy do przedsiębiorców, to najklasyczniejszym przedstawicielem tego korsarstwa nowożytnego jest Eiffel; podjął się on wykonać roboty za 12 mil. franków i wykonał tylko dziesiątą część, pomimo tego, że wziął zapłatę za wszystko, poczem policzył jeszcze sobie 6 mil. za maszyny, których tę roboty wymagały. Ogółem zarobił 33 mil. na 74 mil. robót. Naiwny czytelnik spyta może, dlaczego nie zmuszono go do wykonania zobowiązań? Dlatego, że znaczenie jego w świecie finansowym było tak wielkie, że atakując towarzystwo kanału panamskiego mógł on przynieść mu jeszcze większą stratę, jak 33 milijony.

„Pieniądze lub życie!“ Wołał za czasów romantycznych poczciwy Rinaldo Rinaldini, poczem zadawalniał się sakiewką i zegarkiem. „Pieniądze lub bankructwo!“ woła teraz Eiffel, ale ten nie zadawalnia się nawet korcem złota. Potrzeba mu daleko więcej.

Co jest niezmiernie charakterystyczne w tym procesie, to zdziwienie, jakie ogarnia podsądnych oraz świadków przy pytaniach sędziego śledczego. Jest to według nich rzeczą zupełnie naturalną, że trzeba się opłacać prasie, światowi finansowemu oraz działaczom politycznym. Z początku nawet niektórzy z tych ostatnich probowali nowego środka obrony: przyznawali się oni publicznie do otrzymanych pieniędzy, utrzymując, że mąż polityczny powinien mieć prawo zarabiania na operacyjach giełdowych, chociażby nie wkładał do nich żadnego kapitału, ale tylko swój wpływ polityczny.

Zatem kapitalizm doszedł do tego, że nie może on utrzymać własności bez kradzieży, przez co słynny paradoks Prudona zamienia się w prawdę, którą każda przekupka pojmie. Albowiem wielkie przedsiębiorstwa już wszędzie i ostatecznie zwyciężają nad drobnemi; coraz większa część kapitału w każdym kraju koncentruje się w rękach pierwszych i drugie wkrótce zupełnie przestaną być czynnikiem poważnym. Tymczasem te wielkie przedsiębiorstwa istnieć nie mogą bez kradzieży, przekupowania urzędników i rozsiewania najokropniejszego zepsucia. Pod tym względem Panama daje ogółowi ludzi lepszą nauczkę, niżby to uczyniły liczne wydawnictwa i książki socyjalistyczne i za to rzeczywiście powinniśmy być wdzięczni Francyi.

Ale tu ro legaią się pełne hipokryzyi krzyki: „Panama jest wynikiem anarchii republikańskiej, która panuje we Francyi. Patrzcie na kraje monarchiczne, na cnotliwą Angliję oraz bogobojne Prusy, tam nic podobnego by się nie zdarzyło. Powaga władzy królewskiej, bardziej surowe obyczaje oraz religija utrzymują tam ludzi na drodze cnoty.“ Zedrzyjmy maskę z tych faryzeuszów.

Otóż czasy ostatnie bogate były w skandale wszelkiego rodzaju, dowodzące, że burżuazyja „bogobojna“ conajmniej jest również zepsutą. jak „zmateryjalizowani francuzi“; Niemcy mają swoje pieniądze Gwelfów, z których czerpali urzędnicy Bawaryi i innych krajów, co stanowi przecież najwyraźniejszą zdradę swej ojczyzny na korzyść obcego (a w niektórych wypadkach nawet wrogiego) mocarstwa. W Anglii lord Wolseley niedawno wykazał haniebną gospodarkę i tracenie milijonów w marynarce, a Włochy aż się trzęsą od sprzeniewierzeń, które wykazała sprawa banków. Wreszcie państwo, które według teoryi powyższej powinnoby być najcnotliwszem, mianowicie Rosyja, jest po prostu zorganizowaną bandą złodziei: od cara—batiuszki do ostatniego portupiej—junkra wszyscy kradną i wszyscy się wzajemnie przekupują.

Zatem zgnilizna moralna nie mniejszą jest w monarchijach, jak we Francyi republikańskiej. Dlaczegóż jednak skandale francuskie więcej robią hałasu, jak zagraniczne? Dla pewnej przyczyny, która stanowi właśnie wyższość Francyi, mianowicie dla jej wolnościowych instytucyj oraz dla wykształcenia politycznego jej mas.

Taka sprawa, którąby w Rosyi, Austryi, a nawet Niemczech nigdy nie ujrzała światła dziennego, we Francyi, dzięki zupełnej swobodzie prasy oraz demokratycznej kontroli nad działalnością państwa, musi stać się publiczną. Cenzura, objektywne postępowanie oraz procesy prasowe, to są różne nazwy dla tej samej rzeczy — knebla, który ściska usta prasie w większej części krajów monarchicznych.

„A Anglija!“ — zawoła z tryjumfem nasz zwolennik monarchii, „wszak tam chyba istnieje swoboda słowa“. Otóż przedewszystkiem istnieje i tam potężny hamulec na prasę i to właśnie w sprawach osobistych, mianowicie prawo o dyfamacyi, na podstawie którego złodziej opublikowany może zrujnować tego, który wykrył jego sztuczki. Ale drugą i daleko ważniejszą okolicznością jest ta, że opinija publiczna nie jest wcale tak rozwiniętą w Anglii, jak we Francyi. By dać przykłady, wróćmy do Panamy.

Sprawa panamska rozpoczęła się od tego, że rząd pociągnął do odpowiedzialności panów Lessepsa & C°. Gdy wymienione zostały nazwiska kilku deputowanych, jako przekupionych przez barona Reinacha, izba francuska natychmiast zdjęła z nich nietykalność parlamentarną i oddała ich sądowi. Wszyscy zaś ministrowie, którzy „dobrowolnie“ podali się do dymisyi, pp. Loubet, Freycinet, Rouvier i t. d. uczynili to, gdyż wiedzieli, że sędzia śledczy zdecydował się powołać ich przed siebie. Otóż zapytujemy się, w jakim kraju coś podobnego byłoby możebne? Oczywiście, że nigdzie. Nigdzie bowiem zajęcie się sprawami publicznemi nie ogarnia tak szerokich mas ludności i nigdzie rząd nie jest pod taką kontrolą, jak we Francyi.

Przez to nie chcemy bynajmniej powiedzieć, by instytucyje francuskie były tak wzorowe oraz lud tak wyszkolony, jak by to być powinno. Bynajmniej, tylko w porównaniu z innymi krajami Francyja pod tym względem niezmiernie korzystnie się przedstawia.

Dlatego powtarzamy raz jeszcze, że wdzięczni powinniśmy być francuzom za tę naukę, którą oni całemu światu swą sprawą panamską dali.

OŚMIOGODZINNY DZIEŃ ROBOCZY w Stanach Zjednoczonych

i nowe o nim prawo

przez E. P. Cheyney

PROFESORA UNIWERSYTETU W FILADELFII

(Przekład z *Archiv für Sociale Gesetzgebung und Statistik.*)

PRZYJĘTE przez kongres i wydane dnia 1 sierpnia 1892 r. prawo o ośmiogodzinnym dniu roboczym stanowi krok rozstrzygający w ruchu, który już od dłuższego czasu istniał w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie z rozwojem wielkiego przemysłu, — w okresie między 1825 i 1850 r., — rozwinęła się tam agitacyja na rzecz skrócenia dnia pracy. Agitacyja ta, oraz inne jeszcze uwydatniające się wówczas okoliczności sprawiły, że dziesięć godzin pracy stały się zwykłą normą we wszystkich zawodach, wyjąwszy rolnictwo i niektóre specyjalne rodzaje przemysłu. Zjawiskiem najważniejszem w tym rozwoju było rozporządzenie prezydenta van Burena w 1840 r., na mocy którego, o ile chodzi o przedsiębiorstwa rządowe, „wszystkie roboty publiczne mają nadal trzymać się normy dziesięciu godzin.“ Przez długi też czas norma ta była uważaną za odpowiednią i zwykłą i w wielu stanach były wydane prawa, ograniczające dzień roboczy do 10 godzin, — o ile nie było innej umowy.

Pierwsza agitacyja na rzecz jeszcze większego skrócenia dnia roboczego stanowiła część ruchu, za pomocą którego klasa robotnicza, podczas pięciu lat wojny domowej, od 1861 — 1865, coraz wybitniejsze stanowisko starała się zająć. W tym czasie powstała „Wielka Liga ośmiu godzin,“ która całego swego wpływu używała, by skłonić władzę prawodawczą do wprowadzenia wyrażonej w jej tytule reformy. Rok 1866 należy do najważniejszych w dziejach ruchu robotniczego w Ameryce. Wysokie ceny, jako skutek deprecyjacyi pieniędzy, nadmiar sił roboczych, jako następstwo rozpuszczenia wojska, wpływ podnieceń i wymagań wojny, coraz silniej uwydatniająca się różnica pomiędzy klasami, — wszystko to działało łącznie z przebudzoną samowiedzą mas, z ich dążeniem do wywierania większego wpływu

na prawodawstwo i zrzucenia z siebie niektórych ciężarów. Objawem tego wpływu były projekty przedstawione na kongresie przez różnych jego członków i żądające, by długość pracy dla robotników, zatrudnionych przez państwo, wynosiła 8 godzin. Wszakże projekty te w roku wymienionym oraz następnym nie znalazły dostatecznego poparcia ani wystarczającej liczby głosów. Jednakże 25 czerwca 1868 r. przyjęte zostało pierwsze w Stanach Zjednoczonych prawo o ośmiogodzinnym dniu roboczym (stanowi ono oddział 3.738 zbioru praw w Stanach). Było to postanowienie krótkie i trochę niejasne następującej treści:

„Nakazuje się i t. d., by 8 godzin pracy stanowiły dzień roboczy dla wszystkich ręcznych i przemysłowych robotników, którzy obecnie są zatrudnieni, albo też będą nimi w przyszłości, przez rząd Stanów Zjednoczonych lub na jego rzecz; wszystkie prawa lub części praw, które są w sprzeczności z niniejszem, tracą swą siłę."

Projekt ten wywołał w obu izbach Kongresu ożywione rozprawy i napotkał na silny opór, w końcu jednak został przyjęty znaczną większością. Przeprowadzenie w praktyce tak ważnej reformy napotkało wielkie trudności. Urzędnicy administracyi, trudniący się najmem robotników w różnych wydziałach, trzymali się w ogólności stopy płacy i normy dnia zwykle używanych w przedsiębiorstwach prywatnych danej miejscowości i tylko z wielką niechęcią przystawali na zmianę tego zwyczaju. Z początku w wielkiej ilości wypadków po prostu nie zwracano na prawo uwagi. Jeżeli zaś skracano czas roboczy, to jednocześnie odpowiednio zmniejszano płacę; pozwalano też robotnikom pracować za dawną płacę przy dawnym dniu roboczym. Stało to w jawnej sprzeczności z duchem prawa. Z prowadzonych nad niem obrad wynikało całkiem jasno, że Kongres, skracając dzień roboczy, jednocześnie chciał utrzymania dawnej płacy. Mimo to prokurator generalny wyraził swoje zdanie w ten sposób, że niema żadnej konieczności taki sens nadawać prawu. Do formalnego rozstrzygnięcia kwestyi przez sądy Związku nie doszło. Częste skargi na nieprzestrzeganie prawa spowodowały następujące rozporządzenie prezydenta z dnia 19 maja 1869 r.:

„Ponieważ i t. d.

ja, Ulisses J. Grant, prezydent Stanów Zjednoczonych, postanawiam niniejszem, by od dnia dzisiejszego nie zmniejszano, z powodu skrócenia dnia, wypłacanego przez państwo robotnikom zarobku."

Najtrudniejszem było wypełnienie tego w warsztatach okrętowych i arsenałach, jako też przy robotach publicznych w całym kraju. Tutaj, pomimo rozporządzenia prezydenta, skargi na obejście lub naruszenie prawa były równie częste jak dawniej. Od czasu do czasu robotnicy zwracali się do urzędów finansowych państwa z żądaniem osobnego wynagrodzenia za pracę, odbytą ponad czas, oznaczony przez prawo. Niektórym z tych żądań uczyniono zadość, inne były odrzucone, jak się zdaje, z niezbyt ważnych powodów. Rzecz przyszła tedy na rozpatrzenie Kongresu i w uchwalonem 18 maja 1872 r. prawie postanowiono, że „urzędnicy przy wyrównywaniu rachunków z robotnikami, którzy byli zatrudnieni przez rząd Stanów Zjednoczonych lub na jego rzecz w czasie między 25 czerwca 1868 r., to jest od chwili wydania prawa o 8-godzinnym dniu roboczym, i 19 maja 1869 r., dniem rozporządzenia prezydenta co do przypadających za to wynagrodzeń, — mają przyjmować te rachunki bez zmniejszenia płacy z powodu skrócenia dnia roboczego... i niniejszem zostaje w tym celu wyznaczona odpowiednia suma."

Kongres w ten sposób rozstrzygnął kwestyę co do intencyi prawa i spowodował odpowiednie uregulowanie płacy aż do terminu, po którym rzecz uważano za załatwioną przez rozporządzenie prezydenta. Prawie w tym samym czasie, bo 11 maja 1872 r., było wydane drugie rozporządzenie prezydenta, wyrażające się jeszcze jaśniej niż pierwsze.

Nareszcie teraz przez długi przeciąg czasu prawo było wykonywane przynajmniej w warsztatach okrętowych, wskutek jednak zmiany w zarządzie poczęto je znów ignorować. By dobić się wykonywania prawa, robotnicy różnych warsztatów okrętowych i arsenałów wysłali delegacyę do Waszyngtonu, wszakże bezskutecznie. Tak tedy w jednych wydziałach prawo o 8 godzinach było wypełniane, w innych — nie, w jednej gałęzi administracyi było ściśle stosowane, w innej — całkiem ignorowane. Na Kongresie starano się od czasu do czasu zabezpieczyć jego wykonywanie i mówiono o oddawaniu pretensyj robotniczych do Court of Claims [1]; nie powzięto jednak żadnej decyzyi i prawo było obchodzone jak dawniej. Dopiero w r. 1883 ministrowie marynarki i wojny, pod silnym naciskiem, jaki na nich wywierano, uczuli się zmuszeni ściśle — co do ducha i litery — wykonywać prawo o ośmiu godzinach. Tak tedy, po wielu wybiegach i niesnaskach, prawo zwolna znalazło zastosowanie, przynajmniej w większych przedsiębiorstwach rządowych, i zatrudnieni w nich robotnicy pracują tylko 8 godzin za tę samą płacę, co robotnicy w prywatnych zakładach za dziewięć, dziesięć i więcej godzin. Jednocześnie wszakże pominięto zamierzone stosowanie prawa do robotników, którzy pośrednio zatrudnieni są przez państwo za pomocą przedsiębiorców i wykonywują przypuszczalnie jakie trzy ćwierci robót rządowych; o zmuszeniu przedsiębiorców takich do stosowania prawa „ośmiu godzin" nic nie było słychać. Podobnież w okręgu Columbia, będącym pod bezpośrednim zarządem Kongresu, większość robót publicznych wykonywa się bez żadnego uwzględnienia prawa „ośmiu godzin."

W tym samym czasie, w którym odbywała się walka o przeprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego przy robotach państwowych, związki zawodowe coraz energiczniej zaczęły wysuwać na czoło swoich żądań skrócenie dnia pracy. Wraz z kwestyą płacy, związków robotniczych i innymi punktami spornymi, ośmiogodzinny dzień roboczy coraz częściej stawał się przyczyną strejków. Mianowicie w trzech latach: 1872, 1886 i 1890, dążenie do skrócenia dnia roboczego objawiło się bardzo silnie. W roku 1872 ruch był prawie czysto miejscowy i ograniczony do New-Yorku z okolicą i tylko do różnych gałęzi przemysłu budowlanego. W ruchu tym brało udział około 100,000 osób — mularzy, cieśli, sztukatorów i przedstawicieli innych pokrewnych zawodów. Większość strejków miała powodzenie, przynajmniej na czas pewien, i latem 1872 r. robotnicy przy budowlach w New-Yorku, Brooklynie i miastach sąsiednich pracowali tylko 8 godzin dziennie. Jesienią wszakże przedsiębiorcy odmówili dalszego trzymania się tej normy. Nastąpiły starcia, w których robotnicy po większej części ponieśli porażkę, i wiele przedsiębiorstw powróciło do dziesięciu godzin, podczas gdy większość innych przyjęła dziewięć godzin; norma ta przez długi czas pozostała jako zwykła.

Walki, które nastąpiły po 1872 r., były w każdym pojedyńczym wypadku prowadzone przez narodową organizacyę robotniczą. W Stanach Zjednoczonych, od samego początku ruchu zawodowego, starano się połączyć związki fachowe w wielką narodową organizacyę. Organizacyja taka, obejmująca wszystkie zawody i wszystkie części kraju, przez same swoje stanowisko zmuszoną jest dążyć do wielkich celów, obchodzących jednakowo wszystkich robotników. Takiem właśnie dążeniem jest reforma „ośmiu godzin," w mniejszym lub większym stopniu stała się ona celem wszy-

---

[1] Sąd do rozstrzygania pretensyj wynikających z umów z rządem Stanów Zjednoczonych.

stkich robotniczych organizacyj Związku, co również od niedawna nastąpiło w Anglii. Z obecnie istniejących dwu wielkich połączeń narodowych: „Amerykańskiej Federacyi Pracy“ i „Rycerzy Pracy,“ pierwsze ma za godło słowa „ośm godzin,“ drugie zaś w deklaracyi zasad (§ 20) zobowiązuje swoich członków do „zmniejszenia dnia roboczego, przez odmowę pracowania dłużej nad osiem godzin.“ Na czwartym kongresie pierwszego połączenia, w październiku 1884 r. w Chicago, przyjętą została rezolucyja, polecająca wszystkim amerykańskim organizacyjom robotniczym, by „tak uregulowały swoje prawa, żeby w dniu 1 maja 1886 r. i nadal ośm godzin uważane były za prawny dzień roboczy.“ Również na najbliższem następnem rocznem zgromadzeniu organizacyi, w grudniu 1885 r., kwestyja ta była podnoszoną, i 1 stycznia roku następnego sekretarz fe eracyi zwrócił się do wszystkich związków fachowych i robotniczych z wezwaniem, by 1 maja 1886 r. urządzić wspólną na rzecz tej reformy demonstracyję. W pierwszych miesiącach 1886 r. wielce się tą sprawą interesowano, lecz „Federacyja“ była wówczas liczebnie słabą, a z innych wielkich organizacyj robotniczych żadna nie była skłonną do kierowania lub popierania ruchu. Rycerze pracy, którzy się w tym roku znajdowali na szczycie swej potęgi, postanowili nie brać udziału w zamierzonej demonstracyi, jakkolwiek, oczywista, znaczna liczba członków była przeciwną uchwale zarządu. Wielki mistrz „Rycerzy,“ irlandczyk Powderly wydał 26 marca okólnik, w którym odradza członkom branie udziału w demonstracyi i wypowiada zdanie, że potrzeba jeszcze długiego okresu przygotowawczego, zarówno dla członków towarzystwa, jak i dla społeczeństwa, nim zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia okaże się pożytecznem. To też ruchowi tego roku brakło niezbędnej organizacyi. Mimo to, znaczna liczba robotników żądała od przedbiębiorców skrócenia dnia pracy i strejki były w tym roku o wiele częstsze, niż kiedykolwiek. Że strejki te w znacznej mierze tyczyły się poruszonej tu kwestyi, — dowodzą liczby następującej tabliczki, zestawionej podług sprawozdań Urzędu Statystycznego Stanów Zjednoczonych. Pierwszy szereg podaje liczbę strejków, które przeważnie miały na celu skrócenie czasu roboczego, drugi — strejków, w których chodziło przedewszystkiem o płacę.

Lata			
1881	161	—	1.652
1882	55	—	1.553
1883	279	—	1.734
1884	783	—	802
1885	254	—	1.068
1886	5.073	—	2.630

Szczególnie liczne były strejki w miastach i stanach Zachodu, gdzie Chicago i Milwaukee stanowiły środek ruchu. Po większej części nie miały one powodzenia. Według sprawozdania narodowego urzędu statystycznego, ze wszystkich strejków r. 1886 skutecznych było — 3.420, nawpół-skutecznych — 1.874, bezskutecznych — 4.552. Strejkom towarzyszyły niekiedy nieporządki i starcia z policyją, a nawet z wojskiem; szczególnie dramatyczne wypadki miały miejsce w Chicago, na Placu Haymarket, 5 maja 1886 r. Tu i owdzie w jednej gałęzi przemysłu lub w pojedyńczym zakładzie robotnicy wywalczyli sobie skrócenie czasu roboczego do ośmiu godzin: tak np. w przemyśle budowlanym, w maszynowym przemyśle drzewnym, w fabrykach tytoniu i cygar. W innych zgodzono się na dziewięć godzin. Nie można tedy powiedzieć, by wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego zrobiło znaczne postępy wskutek walk 1886 r.

Następny ruch w celu wywalczenia krótszego dnia roboczego miał miejsze 1890 r.; „Federacyja Pracy“ zdażyła przez ten czas powiększyć liczbę swych członków i lepiej się zorganizować. Na zjeździe dorocznym w St Louis, w grudniu 1888 r., kwestyja ośmiogodzinnego dnia roboczego znowu stanowiła główny przedmiot obrad. Zgodzono się, by wyznaczyć dzień 1 maja 1890 roku na zaprowadzenie ośmiu godzin pracy. Miano działać w dwóch kierunkach. Po pierwsze, miano wybrać dla walki o ośm godzin jedną z gałęzi przemysłu, reprezentowanych w „Federacyi,“ i podtrzymywać ją całą moralną i materyjalną siłą Związku, aż do zwycięztwa. Ta mianowicie gałęź przemysłu miała być wybraną, w której jest najwięcej szans powodzenia. W ten sposób miano postępować kolejno. Następnie, miano urządzić na szeroką skalę propagandę, polegającą na zwoływaniu zebrań masowych podczas dni świątecznych, na rozdawaniu broszur, na odczytach publicznych i innych tym podobnych środkach. Zaczem wydano obwieszczenia, które oznaczały dnie dla jednoczesnych zebrań, wyznaczały związek cieśli i stolarzy, jako pierwszy, który ma podjąć walkę o skrócenie dnia roboczego, i wreszcie polecały związkom od każdego członka pobierać dodatkową składkę w ilości 10 centów (czyli 20 kop.), by nieść cieślom pomoc w walce.

Wyznaczony fach liczył około 60.000 członków w 600 związkach miejscowych. Walka bezzwłocznie się rozpoczęła. Dnia 22 lutego 1889 r. (rocznica urodzin się Waszyngtona) odbyło się w różnych miastach 240 zgromadzeń masowych na rzecz „ośmiu godzin,“ 4 lipca (rocznica niepodległości) — 311, 2 września (święto robotnicze) — 420. Jednocześnie rozmaite związki fachowe urządzały zebrania dla dyskusyi nad tym przedmiotem, często pod kierownictwem ludzi naukowo wykształconych; otrzymywano listy i zbierano zdania o tej kwestyi wybitnych osobistości, należących do wszelkich stanów. Opracowano trzy broszury o różnych stadyjach tego zagadnienia i rozrzucono je w 60.000 egzemplarzy po całym kraju. Zawiązywano stosunki z Rycerzami Pracy, którzy się niedawno jeszcze okazali rywalami a nawet przeciwnikami Federacyi, i żądano od nich współudziału w ruchu.

Agitacyja ta doszła do punktu kulminacyjnego w pierwszych dniach maja 1890 roku. Żądania nie zostały wprawdzie tak szeroko i ściśle postawione, jak się spodziewano według przygotowań; jednakże cieśle dość powszechnie — i nietylko członkowie „Federacyi,“ lecz również i innych związków — domagali się we wszystkich częściach kraju skrócenia dnia roboczego; w miejscowościach, gdzie dotychczas pracowano 10 godzin, żądano dziewięciu, gdzie zaś normą było 9, żądano ośmiu. Po większej części żądaniom tym uczyniono zadość, gdyż robotnicy szli nader spójnie, energicznie obstawali przy swoich żądaniach a i inne okoliczności sprzyjały im. Dłuższych strejków było mało, a rozruchy towarzyszyły im nader rzadko.

W końcu 1890 r. w 35 wielkich miastach, między innemi w New-Yorku, Chicago, Brooklynie, St. Louis, Milwaukee, Indianopolis i innych ważnych punktach ośm godzin było uznane jako normalna długość dnia roboczego cieśli. Blizko w 240 wielkich i małych miastach normą stało się 9 godzin, w innych miejscowościach nie nastąpiło żadnej zmiany. Podobnież w niektórych innych gałęziach budownictwa i w kilku jeszcze rodzajach przemysłu istniał w 1890 r. ruch do wywalczenia ośmiu godzin; nie można jednak twierdzić, że uzyskano jakiś ogólny rezultat. Komitet wykonawczy „Federacyi“ wybrał górników, jako takich, którzy winni po cieślach walczyć o skrócenie dnia roboczego; jednakże kierownicy tego fachu uznali go za niestosowny do tego. Zjawiły się inne jeszcze trudności i, chociaż uchwała o walce dla zdobycia ośmiogodzinnego dnia została utrzymaną w całej pełni, jednakże od 1890 roku nie było żadnych ogólniejszych usiłowań, by to przeprowadzić w prywatnych przedsiębiorstwach.

Za to bojownicy tej reformy nie przestawali się starać, by dopiąć swego celu na drodze prawodawczej. Wprawdzie w dziesięciu stanach oznaczono ośm godzin, jako prawny dzień roboczy, jednakże, ponieważ wszędzie wolno prywatnie umawiać się o inną długość dnia pracy, więc przepis ten ma mało znaczenia. Wiele stanów i gmin wydało prawa lub rozporządzenia o tem, że dzień pracy zatrudnionych przez nie robotników nie ma trwać dłużej nad ośm godzin. Przepisy te wszakże w większości wypadków pozostały martwą literą. Zresztą i tutaj większa część robót publicznych jest wykonywaną przez przedsiębiorców, a przeprowadzić stosowanie do nich prawa „ośmiu godzin," byłoby zadaniem nader trudnem [2]).

Ograniczony zakres i nędzne wykonywanie prawa z roku 1868 były — przy dzisiejszem zainteresowaniu się tą sprawą — dostatecznemi przyczynami, by postawiony został wniosek polepszenia prawa. Jak widzieliśmy, głównemi jego lukami było to, że nie oznaczało ono kary za naruszenie prawa, że nie rozciągało się na robotników, zatrudnionych przez przedsiębiorców rządowych, i — wreszcie — że nie było stosowane do robotników zajętych przy robotach publicznych w okręgu Columbia. W niedawno zamkniętej sesyi Kongresu przedstawiono, jako projekt, trojakie środki do usunięcia tych luk. Zostały one przekazane komisyi, która zamiast nich wypracowała nowy projekt prawa, łącznie z motyw mi; miał on za sobą wszystkie głosy komisyi. Po długich obradach w obu izbach i licznych usiłowaniach polepszenia go, projekt został przyjęty w swej pierwotnej formie.

Na mocy tego prawa, robotnicy, zatrudnieni przez rząd Stanów jakoteż przez przedsiębiorców robót rządowych, oraz przy robotach publicznych okręgu Columbia, nie mogą pracować dłużej nad ośm godzin dziennie. Winni naruszenia tego prawa urzędnicy i przedsiębiorcy ulegają karze pieniężnej do wysokości tysiąca dolarów lub też zamknięciu w więzieniu do 6 miesięcy, a w razach wyjątkowych, obu karom jednocześnie.

W senacie projekt nie wywołał ożywionych debatów i nie spotkał żadnego oporu; za to w izbie deputowanych rozprawy przeciągnęły się. Komisyja, która projekt przedstawiła, oraz przemawiający za nim deputowani rozumowali w tèn sposób, że jest pożądanem, by robotnicy mieli dość wolnego czasu dla wypoczynku, kształcenia się i rozrywek oraz by, przez skrócenie dnia roboczego, dać zajęcie tej wielkiej liczbie robotników, którzy dziś zmuszeni są mimowoli do próżniactwa. Że taką zmianę można zaprowadzić bez żadnej szkody — tego dowodzono 1⁰) tem, że płaca dotychczas pozostała ta sama lub nawet wzrosła, mimo ciągłe zmniejszanie dnia roboczego; 2⁰) że, dzięki wciąż postępującym wynalazkom maszyn oszczędzających pracę, istoty ludzkie nie potrzebują już pracować tak długo, jak dawniej i 3⁰) że — dzięki większej intensywności pracy, gdy takowa nie trwa zbyt długo, ludzie w ciągu ośmiu godzin wogóle mogą wytwarzać tyleż, co przy dłuższej pracy.

Przeciwnicy głównie kładli nacisk na to, że niesprawiedliwością jest krępować wolność handlu i umów, że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, płaca upadnie w stosunku do skrócenia czasu roboczego, i wreszcie, że przedsiębiorcom rządowym nastręczą się trudności materyjalne, gdy robotnicy przy robotach rządowych będą pracowali tylko ośm godzin, podczas gdy zatrudnieni w prywatnych ich przedsiębiorstwach — jak zwykle — będą musieli pracować 9 i 10 godzin. Obrońcy projektu wielki nacisk kładli na tę jednomyślność, z jaką domagają się roformy robotnicy całego kraju.

Oczywista, przedwczesnem jest mówić o skutkach, jakie przyniesie wprowadzenie nowego prawa. Jego zakres w każdym razie jest nader ograniczony i ma znaczenie raczej dzięki możliwemu wpływowi na przedsiębiorstwa prywatne i dzięki temu, że może służyć za normę, niż z racyi swego zastosowania bezpośredniego. Juryzdykcyja rządu związkowego nie rozciąga się w tym wypadku ani na robotników, zatrudnionych przez pojedyńcze stany, ani na zakładane przez stany towarzystwa i pojedyńcze zatrudnione w nich osobistości. Rzecz wątpliwa, czyby nasze władze państwowe mogły i chciały wprowadzić przymusowy dzień roboczy dla przedsiębiorców prywatnych. Z drugiej strony — nie żądano jeszcze u nas tak daleko idącej reformy. Zorganizowani robotnicy byli dotychczas przeważnie tego zdania, że wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia przez rozmaite władze: związkową, stanową i gminną, dla zatrudnionych przez nie robotników zupełnie wystarcza. Zaprowadzenie reformy „ośmiu godzin" w stosunkach prywatnych pozostawiają oni wpływowi i naciskowi swoich organizacyj.

[2]) Rada miejska paryska dokonała tego jednak; pomimo oporu administracyi potrafiła ona zmusić przedsiębiorców do zaprowadzenia dziewięciogodzinnego dnia roboczego. (Przyp. Red.)

Z KRAJU I O KRAJU

Z Łomżyńskiego w Styczniu 1893 r.

Russo - Boruska przyjaźń

Upadek Bismarka i tak zwany „nowy kurs" nie zmienia w niczem russo-boruskiego usposobienia biurokracyi pruskiej. W swoim czasie, a mianowicie z powodu konfliktu między Bismarkiem a Gorczakowem, żelazny książe polecił jednemu ze swych policyjnych literatów, ozdobionych tytułem doktorskim, Juliuszowi Eckardt, by narysował w silnych barwach dawną „ruskość" biurokracyi pruskiej. Czytelnicy ciekawi tych objawów znajdą je w książce p. t. „Berlin i St. Petersburg." Ale ruskość ta pruskich biurokratów i pruskich junkrów nie jest bynajmniej rzeczą z przeszłości, nie jest historyją dnia wczorajszego. Zjednoczenie Niemiec nie wyzwoliło pruskiego ducha z rosyjskich objęć i dziś jeszcze biurokracyja boruska kieruje się interesami wielkiego mistrza i przyjaciela — rosyjskiego czynownictwa. Nawet „wielka polityka" musi ustąpić miejsca tej odwiecznej tradycyjnej przyjaźni.

Oto przykład charakterystyczny. Ostatnimi czasy inspektorat szkolny regencyi poznańskiej w zaborze pruskim przyszedł do przekonania, iż należy ograniczyć prywatne nauczanie języka polskiego. Cyrkularz ten nastąpił zaraz po „serdecznem przyjęciu" generała Baranowa, gubernatora kaliskiego, w Poznaniu. Rewizyta władz pruskich ma nastąpić rychło a jako zadatek wzajemnych russo-boruskich grzeczności jest pono cyrkularz pruskiego inspektora szkolnego. „Myśl" rosyjska skojarzyła się z „duchem pruskim" — polacy zaś poniosą koszty wesela tego.

Nie zawsze jednak tylko polacy opłacać będą russo-boruską przyjaźń. Naiwność rosyjska umie czasami przezwyciężać rachunkowość pruską i w imię tradycyjnej przyjaźni władze boruskie oddają usługi swym „wiernym" sojusznikom, za które sami płacić mogą. Ilustracyją tego zwycięztwa prarosyjskiej naiwności, która umie oszukać i niemieckich handlarzy, jest fakt następujący.

W Grajewie przebywa urzędnik rosyjski pan Spatzek czy też Szpacek. Rodem czech, zajmuje on skromne stanowisko czynownika podrzędnego, załatwiającego przekłady listów frachtowych towarów, idących z Rosyi lub zaboru rosyjskiego do Prus i naodwrót. Pomimo skromnej swej pensyi podrzędnego czynownika, zrusyfikowany czech odbywa dalekie podróże do Kijowa..... i Konstantynopola. Wielki myśliwy, objeżdża on także całą pograniczną regencyję gombińską i dociera nawet do Królewca. Czego pensyja nie daje, uzupełniają łapówki — to narodowo-rosyjskie źródło dochodu oraz, jak fama głosi, tajna pensyja rosyjskiego ajenta politycznego. Obznajmieni z warunkami wiedzą jednak o tem, że w okolicach Grajewa nie ma ani spisków lub intryg polskich, ani też knowań nihilistycznych; natomiast jest długi łańcuch fortec i fortów pruskich, koszar nowowybudowanych, których siła jest interesującą dla „wiernego“ sojusznika. To też zjawia się wniosek, że pan Spatzek, czy Szpacek jest wojennym Rosyi ajentem. Nie przeszkadza mu to być w dobrej przyjaźni z landratem łyckim, panem von der Gröben, który dla wiernego sojusznika nie ma tajemnic, który wydaje mu nieograniczone niczem pozwolenie do rozjazdów i do polowania. W czasie ubiegłego lata, kiedy z powodu cholery wszyscy mieszkańcy byli w niemożności otrzymania pozwolenia do rozjazdów, pan Spatzek mógł swobodnie docierać do Królewca. Dla czego pan i pani Spatzek jeździli do Królewca w towarzystwie innego jeszcze podejrzanego czynownika, niejakiego H — n, o tem ludzie wcale nie dwuznacznie mówili, a opowiadania te rozchodziły się nawet w moim mieście, w Łomży i w Białymstoku. Ale russo-boruska przyjaźń ślepą jest i pan von der Gröben junkierskiej nazwy i junkierskiego ducha nie może wiedzieć w Łycku tego, o czem wiedzą mieszkańcy Łomży lub Białegostoku.

* * *

Posełam wam, towarzysze, jeszcze jedną nowinkę, która teraz absorbuje tu umysły. Oto przed kilku dniami władze wojskowe otrzymały transport „literatury,“ przeznaczonej dla podniesienia ducha wojskowego. Jest to broszura, wyjaśniająca żołnierzom przyczyny wojny i konieczność walczenia; drukowaną była w Taszkiencie i stanowi, zdaje się, rzadkość literacką, bo tylko jeden egzemplarz „przeznacza się“ na całą rotę. Postaram się o ten płód literacki i wyślę wam takowy choćby w wyciągu*).

* * *

Z Petersburga w Styczniu 1893 *r.*

Grożą nam tu nowe nieporządki studenckie, a mianowicie w instytucie technologicznym. Tym razem polacy są rzeczywistą przyczyną „kramoły.“

Technolodzy mają swoją „stołową,“ zarządzaną przez wybranych w tym celu studentów. W stołowej oprócz obiadów studenci mają tradycyjne prawo wywieszania ogłoszeń. Polacy studenci już od dwóch lat wywieszają swoje ogłoszenia w języku polskim. Otóż to ten język nieprzyzwoity w Rosyi obraził uczucia patryjotyczne jednego z technologów, niejakiego Rozowa, który też w księdze zażaleń zapisał swą boleść, wywołaną w nim przez „nieprzyzwoitość“ polaków, którzy obrażają uczucia „ruskich ludzi“ przez używanie języka polskiego w rosyjskim uniwersytecie. Zarząd stołowej nie dał żadnej odpowiedzi. Uczuciowy wszakże pan Rozow nie zrozumiał tej milczącej nauki i powtórzył jeszcze raz swe zażalenie, na które zarząd zmuszony — dał nareszcie żądane „wyjaśnienie,“ zastrzegając, że polacy mają prawo do używania swego języka i powołując się na utrwalony w stołowej usus.

Wtedy zjawia się zbiorowy protest przeciw językowi polskiemu. Agitacyja, rozpoczęta przez Rozowa, dostaje się w ręce trzech studentów, niejakiego Krasilnikowa, następnie Liwczaka, „ruskiego“ rodem z Galicyi, oraz Poradowskiego. Ten ostatni jest Aleksander Feliksowicz Poradowskij a zatem także „ruskij“ ciekawego pochodzenia.

W odpowiedzi na ten zbiorowy antipolski manifest pojawiła się na ścianach stołowej uczciwa odpowiedź starszej już studenteryi rosyjskiej, która zwróciła się do panów szowinistów z zapytaniem, czy w samej rzeczy chcą oni powrotu do systemu Murawjewa. Wzmianka o wieszatielu była wywołaniem ducha; polonofobi odpowiedzieli okrzykiem zgrozy, że między ruskimi mogą się znaleźć ludzie, którzy śmią kalać pamięć ubóstwianego przez całą Rosyję męża stanu — objedinitielia. Wywiązała się więc cała polemika, która przybrała wreszcie charakter bardzo gwałtowny. Polemiści zaczęli używać jaskrawych argumentów: po „intrydze polskiej“ poszły wyrazy „podlecy“ i t. d.

Zarząd stołowej chcąc położyć tamę dyskusyi zawiesił prawo każdego członka stołowej do wywieszania ogłoszeń. Rozporządzenie to rozumne i mające na celu zadusić sprawę wywołało wszakże nową burzę. Zwolennicy Murawjewa przeszli odrazu do nauki anarchistycznej, skarżąc się na pogwałcenie praw jednostki. Sprawa więc musiała być rozstrzygniętą. Zwołano wiec. Ale właśnie w dzień zebrania zarząd otrzymał list zbiorowy, że jeśli nie zaspokoi obrażonego uczucia patryjotycznego, to autorowie listu przedsięwezmą..... „środki radykalne.“ Zapytani na zebraniu, co rozumieją pod słowem „radykalne środki,“ panowie patryjoci odpowiedzieli, że właśnie tego dnia wysłali już do dyrektora zakładu delegacyję, złożoną z ośmiu studentów. Donos zatem był już zrobiony. Ale właśnie ten „radykalny“ środek przebrał miarkę. Do owej chwili większość, a raczej ogół był sercem po stronie Liwczaków, publicznie jednak nie śmiał się do nich przyłączyć. Tylko młodsze kursy stanęły wyraźnie przy polityce „objedinienia,“ podczas gdy starsze kursy z wielką energią starały się ogół nawrócić na drogę rozsądku i uczciwości politycznej. Z chwilą, w której Liwczaki i Krasilnikowy użyli donosu, opozycyja radykalna miała do walczenia już z reakcyją tylko; masa, bowiem została obezwładnioną. To też Krasilnikowa wyrzucono ze stołowej.

Donosiciele wybrali powtórną delegacyję do dyrekcyi, skarżąc się na wydalenie ze stołowej. Władze szkolne zaprotestowały przeciw wykluczeniu ze stołowej, grożąc jej zamknięciem. „Możecie panowie wykluczać ze swego grona ale nie ze stołowej“ — oświadczyły władze. Zarząd stołowej ustąpił żądaniu dyrekcyi. Tymczasem nastąpiły feryje zimowe, a sprawa cała sama przez się została zawieszoną. Niektórzy przewidują nowe „nieporządki.“

Fakt ten przebudzenia się szowinizmu rosyjskiego nie jest, niestety, odosobnionym. Stosunki w uniwersytecie moskiewskim są jeszcze gorsze niż tutaj, a w kołach oficerskich naprzykład nastrój jest dziś takim, że oficerowie polacy muszą unikać głośnej rozmowy polskiej wobec bezustannych donosów i ich konsekwencyj, to jest kar dyscyplinarnych.

Taki nastrój dyktuje rewolucyjonistom rosyjskim obowiązek zwrócenia uwagi na agitacyję polityczną. Rosyjska opozycyja musi zrozumieć to, że granice dzisiejszego państwa rosyjskiego fatalnie podtrzymują istniejący w niem despotyzm.

---

*) Tytuł broszury jest „Wojenno-pochodnyja i bojewyja diejstwija niżnich czynow“; autorem jej jest niejaki A. N. Aleksandrow, porucznik artyleryi w Taszkiencie.

Uwaga : Polacy trzymali się zupełnie na uboczu podczas całego przebiegu tej sprawy ; ogłoszenia zaś swoje nadal czynili w języku polskim. *z.*

***

Z Moskwy.

W Moskwie na wykładzie Janżuła (w uniwersytecie) kiedy ten krytykował prześladowania żydów (na lekcyi o podatkach na żydów w wiekach średnich etc. — jeden ze studentów wstał i przerwał : „jesli prawitielstwo gonit żydow, to tak i nado ; ich nużno bit', riezat' etc.“ Na to Janżuł : „u nas niet żydow a jest' jewrei-graždanie“ i dziwi się, że studenci mogą używać tak ostrych wyrażeń, i dalej chce wykładać. Wtedy całe audytoryjum zaczyna protestować przeciw Janżułowi, który musiał wykładu zaniechać, bo mu studenci nie pozwolili go dokończyć. Działo się to w styczniu 1893 roku. *z.*

Wydalenie z Francyi naszych towarzyszy

Dnia 7 stycznia b. r. aresztowano w Paryżu pięciu naszych towarzyszy : Abramowskiego, Dębskiego, Jędrzejowskiego, Perla i Wojciechowskiego. Po kilkodniowem przetrzymaniu w więzieniu, zostali oni wypuszczeni w towarzystwie szpiclów oraz wyda'eni z Francyi. Granicę pozwolono im wybrać, wskutek czego udali się do Anglii.

Takim sposobem prawo schronienia, które, wyjąwszy czasy cesarstwa, nigdy we Francyi nie przestawało istnieć i które od upadku Gambetty zdawało się ostatecznie utrwalonem, — zostało jednem zamachem pióra ministeryjalnego obalone. Pewne nadzieje mogła by dać osławiona nietrwałeść rządów francuskich i, rzeczywiście, nazajutrz po zaaresztowaniu naszych towarzyszy minister, który tego dokazał (Loubet). upadł, ale zdaje się, że zmiany reakcyjne zawsze daleko trwalsze są od postępowych, przynajmniej następca Loubeta, Ribot, odpowiedział na zapytanie posybilisty Lawiego w tej kwestyi, iż „nie pozwoli on. by na terytoryjum francuskiem knuto intrygi przeciwko obcemu mocarstwu.“

Chwila dla przeprowadzenia tego zamachu była bardzo dobrze wybraną : opinija publiczna była cała zajęta Panamą, z drugiej zaś strony patryjotyzm i miłość dla wiernej alijantki Rosyi dostatecznie już zostały rozpalone pod działaniem strachu przed Niemcami i „rubla wędrującego.“ Pomimo tego policyja widocznie nie była wcale pewną siebie, gdyż uważała za stosowne rozpuścić w oddanych sobie gazetach szereg kłamstw i bzdurstw : nasi towarzysze byli to „nihiliści rosyjscy,“ którzy przygotowywali całe magazyny bomb, dla przewiezienia ich do Rosyi, — w innem miejscu mówiono, że oni to zrobili bombę, która wybuchła na pewnem zebraniu francuskiem, wreszcie chwalono policyję za to, że ocaliła Paryż, który miał być 10-go stycznia (w dniu otwarcia parlamentu, na który przewidywane były demonstracyje) zasypany bombami. Trzeba jednak przyznać, że te starania były zupełnie zbyteczne ; wieści o bombach minęły zarówno niepostrzeżenie, jak i późniejsze zaprzeczenia ; uwaga publiczności skierowana była zupełnie gdzieindziej.

Nawet socyjaliści francuscy, którzy rozwinęli tak energiczną działalność przed dwoma laty, przy aresztach kilku rosyjan oraz polaków, — teraz nie bardzo się ruszali. Po wydaleniu tylko Ribot został w izbie zapytany, na jakiej podstawie zgwałcił prawo schronienia, — i to przez członka jednej z bardziej umiarkowanych frakcyj socyjalistycznych posybilistę, poczem pytanie zostało zamienione w interpelacyję przez eksbulanżystę Jourde'a. Oczywista rzecz, iż izba pospieszyła odsunąć interpelacyję na cały miesiąc, większością dwustu kilkudziesięciu głosów przeciwko 34.

Co prawda wydalań należało się spodziewać prędzej czy później, od kilku lat bowiem wydalano z Francyi anarchistów, ale dotąd działo się to pod pretekstem przestępstw t. zw. kryminalnych, a raczej usiłowania takowych, gdyż wydalenie odbywa się bez wyroku sądowego. Teraz reakcyja zrobiła o krok więcej.

P. S. Dowiadujemy się, że Nakaszidze, który po odbyciu kary i wydaleniu wrócił do Francyi i oddał się sam w ręce policyi, został skazany za powrót i noszenie broni na 3 lata więzienia (zamiast 6 miesięcy prawem przepisanych.).

Polskie pisma socyjalistyczne, wychodzące za granicą, otrzymały od towarzyszy z kraju następujący komunikat, który stosownie do żądania, przedrukowujemy.

Niniejszem oświadczamy, że Marcin Kasprzak, alias Maciej, alias Teofil został wykluczony z naszej partyi z powodu :

1⁰). że mu dowiedziono sprzeniewierzania przez długi przeciąg czasu funduszów partyjnych ;

2⁰). że świadomie okłamywał towarzyszy w kraju i zagranicą co do ważnych spraw partyjnych ;

3⁰). że w ogóle wyzyskiwał w sposób niegodny zaufanie, jakiem go obdarzano, na rzecz osobistą, żyjąc bez pracy, a całkiem lekceważąc sprawę ;

4⁰). że w ostatniej sprawie z *Free Russia* na wszystkie strony rozsiewał kłamstwa i potwarze, — co zostało udowodnione przez towarzyszy naszych, którzy go znają od dłuższego czasu ;

5⁰). że w ostatnich czasach stał się osobistością podejrzaną pod względem stosunków z policyją.

Podajemy więc to do wiadomości towarzyszy, prosząc wszystkie socyjalistyczne pisma polskie o powtórzenie naszego oświadczenia, a towarzyszy o udaremnienie Kasprzakowi stosunków wśród socyjalistów. Przy swoim sprycie i zręczności może on niejedną jeszcze szkodę przynieść ruchowi.

Warszawa
w Grudniu 1892 r.

Pieczęć Komitetu Centralnego partyi Proletaryat.

Nadto otrzymujemy od towarzyszy z Berlina następujące ostrzeżenie :

Ponieważ doszło do komisyi prasowej i agitacyjnej, że Marcin Kasprzak nietylko wszedł w bliższe stosunki z miejscowem towarzystwem socyjalistycznem, ale zarazem prowadzi jakieś konszachty w imieniu „Gazety Robotniczej,“ przeto uważamy za niezbędne oznajmić, a zarazem przestrzedz towarzyszów, którzy łatwo mogliby być w błąd wprowadzeni, że człowiek ten w żadnym związku ani z „Gazetą Robotniczą,“ ani z agitacyją na Szlązku nie jest i że z powodu rozmaitych nieczystych sprawek został skazany na hańbę, obowiązkiem więc każdego socyjalisty jest zastosowanie się do tego i zerwanie z nim wszelkich stosunków, czy to prywatnych, czy to agitacyjnych, pod groźbą ściągnięcia na siebie tejże hańby ! **Komisyja prasowa i agitacyjna.**

Printed and published by S. Mendelson — 27 Stonor Road, West Kensington W.